Egzemplarz obowiązkowy

Mirosław Derecki – **Dramatyczna walka na Sławinku** str. 6–7

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 23.V.1971 Nr 11 (470) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Na tym rynku w Kazimierzu nad Wisłą odbędzie się 23 maja wielka impreza zorganizowana przez Wydawnictwo Lubelskie, Lubelski Oddział PUPiK „Ruch", redakcje „Kuriera Lubelskiego" i „Kameny" z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy.
Fot. A. Polakowski

Czerwiec - Dni Lublina

Znany i nieznany

Romuald Wiśniewski

NIE lubię takich tematów. Napisać coś do numeru na „Dni Lublina", to niewątpliwie znaczy napisać coś ciepłego, miłego, wzruszającego. A kto to przeczyta? — pytam. Poruszyć jakąś sprawę bolącą, drażniącą, wymagającą szybkiego załatwienia? Przy takiej okazji — nie wypada. Lecz czy człowiek lubiący swoje miasto, przywiązany doń, może z czystym sumieniem produkować tylko laurki, pomijając tematy trudne? Tych zaś nie brak; znikają jedne, rodzą się nowe.

Przez cały rok czytamy w prasie o różnych niedociągnięciach handlu, na ogół nie zauważając, czy też ledwo zauważając, jego sukcesy, a nagle na „Dzień Pracownika Handlu", krople miodu padają z nieba, ani ziarna pieprzu. Przez cały rok rzucamy gromy za spóźnianie się pociągów, nawet w czasie zawiei, i nagle komplementujemy kolejarzy w ich „dzień". Czy celem „Dni Lublina" (i okolicznościowej publicystyki) ma być postawienie wielkiego kadzidła na Placu Litewskim? Pan jest sympatyczny. I pan. I pan. No, a ja też jestem swój chłop, niech pan powie, prawda? Ile razy biorę udział w szykowaniu okazyjnego numeru pisma, boję się, że z tej mąki wyjdzie nie tort, a zakalec.

A tu zlecają, napisz o Lublinie. Nie precyzują dalej. O jakim Lublinie? O czym? Co innego przedstawić pewne sprawy statystycznie (od statystyki jest zresztą w „Kamenie" Jerzy Dostatni), bo liczby są bezwzględne, a co innego próbować spojrzeć na miasto własnymi oczami — każdy będzie miał inny obraz. Znam ludzi, krzepkich jeszcze, energicznych, którzy pamiętają, jak z Lublina, bez paszportu, bez żadnych ceregieli można było pojechać do Kijowa, Moskwy, Samarkandy, Charbina, Buchary, czy Irkucka, natomiast Kraków był już zagranicą, Galicją. Kiepsko im się wtedy żyło, lecz byli młodzi, piękni, mieli głowy pełne marzeń

Dokończenie na str. 5

Lubelskie Stare Miasto
Fot. Janusz Mendrychowski

Poseł przyjechał

Stanisław Harasimiuk

W PIERWSZYM wiosennym słońcu oślepiająco łyskają mosiężne czynele i trąby miejscowej orkiestry dętej, nad rogatymi czapkami mienią się barwami tęczy pawie pióra. Kilkunastu chłopów poprzebieranych w regionalne stroje krakowskie stoi upozowanych na tle niszczejącego dworku z XVIII wieku, w otoczeniu świątecznie przyodzianej ciżby chłopskiej, przez której gęstwę przebija się lśniąca niklem czarna „Wołga" z posłem i dziennikarzem oraz „Warszawa" z powiatu.

Bajecznie kolorowo. Niczym w epoce galicyjskiego bidowania, kiedy własną odrębność narodową i dumę trzeba było akcentować „na zewnątrz". Dawny obyczaj, który ostał się do dziś, w mentalności lokalnych władz i tubylców bezkolizyjnie skojarzony został z polskoludową współczesnością, czarną „Wołgą", ekipą realizatorów filmowych i TV.

Wysiadamy. Terkocą kamery. Uściski dłoni. Orkiestra wybucha ogłuszającym „Sto lat", tłum podchwytuje. Filmowcy zwijają się, żeby uwiecznić tę spontaniczną — ich zdaniem — scenę. Znakomita przebitka do nakręcanego właśnie filmu Juliusza Janickiego pt. „Poseł przyjechał". Zerkam na posła Władysława Machejka. Stoi wyprostowany w nieodłącznym, teraz rozpiętym z powodu ciepła, surowym kożuchu sięgającym niemal ziemi. Z gołą głową roziskrzoną ostro podświetlonym srebrem. Z twarzą skupioną. Jest wzruszony. I nieco zdetonowany takim przyjęciem. Jeszcze na dobre dwa kilometry przed Niedźwiedziem, gdy naszą „Wołgę" zatrzymał asystent reżysera, prosząc abyśmy zaczekali, aż ekipa przygotuje plan do sceny powitania, Machejek zaklął: *A miało być naturalnie, psia krew. Tylko pod tym warunkiem zgodziłem się na filmowanie.* Czekając staliśmy więc na poboczu zbudowanej w czynie szosy, wygrzewaliśmy się w słońcu, paliliśmy. Kostecki, pierwszy z Miechowa, zapewniał, że w niczym palców nie maczał, przeciwnie — zarówno filmowców jak i przedstawicieli gromady wielokrotnie prosił o prostotę i naturalność. — *No i, widzicie, będzie naturalnie.*

* * *

Było naturalnie. W nabitej sali podczas spotkania. Członkowie orkiestry w barwnych strojach, filmowcy, ekipa TV, przedstawiciele powiatu — wszyscy oni zniknęli w

ciżbie ludzkiej, która w skupieniu przeczekała interesujące „zagajenie posła o ogólnej sytuacji w kraju ze szczególnym wyeksponowaniem najważniejszych elementów aktualnej polityki rolnej". Przeczekali to zagajenie i ruszyli do frontalnego ataku. Nie na posła, rząd czy kogokolwiek — na bezmyślność i bezduszność, na wszystko, co nie było w zgodzie z ich zdrowym, jak często podkreślali chłopskim rozumem.

Stefan Twardowski, chłop w prasie oczytany, już po pięćdziesiątce, mówił o masowych ucieczkach młodych ze wsi, twierdząc, że proces ten będzie stale postępował — dopóki nie zmienią się warunki na wsi, dopóki nie zrównają się z miejskimi. I to pod każdym względem. *Dziś, proszę was, nie ma pojęcia przywiązania do ziemi. Dziś jest wszędzie kalkulacja, rachunek ekonomiczny. Młody ze wsi czyta, ogląda telewizję, ogląda braci i siostry po miastach urządzonych i porównuje, proszę was. Więc jak chcemy, żeby ziemia miała ręce do roboty, młode ręce, proszę was, to trzeba młodemu rolnikowi dać perspektywy.*

Od razu się zakotłowało. Genowefa Plucińska powiada, że owszem, kobietę ceni się w przepisach, sama jest radną, przewodniczącą KGW, liczą się z jej głosem. *Ale czy ja mam na co czas, skoro dzień mojej pracy zaczyna się o świcie, a kończy nocą? Mój, dajmy na to, z bronami idzie, a ja za nim z kobiałką albo płachtą przepasana i nawóz rozsiewam. Nawóz trzeba obowiązkowo wykupić, bo kara, no i plon lepszy, ale żeby rozsiać go było czym, to rząd przez 26 lat o tym nie pomyślał. Kobiety rękami rozsiewają. I jak tu kobieta z miastową ma się zrównać — ani w czasie, ani w urodzie nie może.*

Młody rolnik, J. Mikoś, nawiązuje do słów Twardowskiego: *Liczym z ołówkiem w ręku i będziem liczyć. Ja tu założę takie fakty. Przed Bożym Narodzeniem krowa mnie się ocieliła, ale nie za bardzo dobrze, bo łożysko zostało. Weterynarz wyjął łożysko. Ile kosztowało? Czterysta złotych. Nie kant, tyle jest w cenniku. Akurat tyle samo ciele od cyeka na spędzie kosztuje. To gdzie kalkulacja? I drugi fakt założę. Tak pod jesień żem kupił warchlaka 20-kilowego. Za 900 zł. W marcu żem sprzedał tego świniaka na obowiązek. I co żem dostał? Ano, też 900. To chyba pomyłka, nie? No bo kupiłem prosię za 900 i sprzedałem też za 900. A gdzie moja robota, czas, kartofle, śruta, węgiel?*

Dokończenie na str. 6—7

teatrnn.pl

Kultura 1971

Zmarli

● 62-letni architekt i plastyk Stanisław Zamecznik, profesor PWSSP w Poznaniu. Interesował się głównie architekturą wystaw. Zajmował się także grafiką książką oraz plakatem.

● 74-letni aktor, reżyser i kierownik artystyczny Teatru Żydowskiego w Warszawie — Chewel Buzgan, odznaczony m. in. Orderem Sztandaru Pracy II klasy.

● 78-letni Marcel Gromaire, francuski malarz, twórca cenionych gobelinów i arrasów, który spowodował odrodzenie się sztuki ich robienia we Francji.

Literatura

● Nagrody literackie CRZZ za książki o wysokich walorach ideowych i artystycznych, związane tematycznie z życiem i pracą klasy robotniczej, otrzymali: Jerzy Broszkiewicz za „Długo i szczęśliwie" oraz Jan Maria Gisges za „Śmiech". Wyróżniono „Krajobraz ogni", wybór reportaży o Nowej Hucie.

● W tych dniach ma ukazać się pierwszy numer miesięcznika „Literatura na świecie", którego zadaniem jest zapoznawanie czytelników z najwybitniejszymi utworami współczesnej literatury światowej.

● PIW wydał tom poezji kilkudziesięciu autorów litewskich pt. „Pieśni i gwiazdy" z obszernym wstępem Leopolda Lewina i Zygmunta Stoberskiego.

● Ostatnio powstała u nas — nawet nieco w konspiracji — Unia Polskich Pisarzy Medyków. Odbyła pierwsze sympozjum literackie.

● Od nowego roku akademickiego na Wydziale Reżyserii w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie powstaje sekcja literacka. Będą się tu kształcić przyszli kierownicy literaccy teatrów oraz ludzie pragnący pisać o teatrze. Przyjmowani będą kandydaci po ukończonych studiach wyższych.

● W wyniku umowy o współpracy w tym roku zostanie przygotowana w ZSRR seria międzywydawnicza pn. „Biblioteka polska", poświęcona literaturze współczesnej.

● W Nowym Jorku powstała organizacja Stowarzyszenie Pisarzy Polsko-Amerykańskich. Prezesem został Zygmunt Umiński.

● „Cechą szczególnie charakterystyczną naszej literatury jest jej wielonarodowość. W Związku Radzieckim wydaje się książki w 74 językach. Różnojęzyczność ta występuje głównie w Federacji Rosyjskiej, gdzie pisarze tworzą w 48 językach" — powiedział sekretarz Zarządu Związku Pisarzy ZSRR Sergiusz Michałkow.

● Od 1945 roku wydano w Rumunii 139 tys. tytułów książek w nakładzie 140 mln egz. Dużym powodzeniem cieszą się serie najcelniejszych pisarzy obcych, jak „Klasycy literatury światowej", „Południki", „Powieści XX wieku".

Teatr

● 15 zespołów wzięło udział w czterodniowej VI Studenckiej Wiośnie Teatralnej w Lublinie. Wielką nagrodę otrzymały ex aequo: „Gong 2" z Lublina oraz teatr „77" z Łodzi, dalsze nagrody — teatr „Nawias" z Wrocławia, „Pleonasmus" z Krakowa, a za debiut dramatyczny Z. Hejduk za jednoaktówkę „Spisek".

● Na scenie kameralnej Teatru Klasycznego w Warszawie odbyła się prapremiera sztuki Wacława Kubackiego „Rzymska wiosna". Tematem jej jest znajomość Mickiewicza z amerykańską publicystyką i emancypantką Małgorzatą Fuller, poznaną w Rzymie w okresie tworzenia Legionu. Reżyserował Jerzy Rakowiecki, w roli głównej Nina Andrycz.

● Odbyły się XI Kaliskie Spotkania Teatralne. Teatr im. Osterwy pokazał sztukę Ernesta Brylla „Kto ty jesteś".

● Teatr Żydowski w Warszawie wystawi w przyszłym roku jako światową prapremierę adaptację słynnej powieści Liona Feuchtwangera „Żydówka z Toledo" oraz sztukę Artura Millera „Śmierć komiwojażera". Ostatnio teatr wystawił z okazji 28 rocznicy powstania w Getcie Warszawskim widowisko muzyczne „Wśród walących się ścian".

● 5 czerwca wyjeżdża do Czechosłowacji i Jugosławii warszawski Teatr Dramatyczny. Pokaże on „Kroniki królewskie" St. Wyspiańskiego oraz „Hadriana VII" P. Luke. W drodze powrotnej teatr ma wystąpić dodatkowo w Sofii.

● W Warszawie, Łodzi, Wrocławiu i Krakowie wystąpił teatr jugosłowiański „Zenica", pokazując sztukę Nadiera Ibiszimovicia „Ugursuz".

● W Muzeum Narodowym w Damaszku syryjski minister kultury otworzył wystawę „Teatr w Polsce".

● Paryski teatr „Le Jardin" wystawił „Pokojówki" Geneta — w całkowicie męskiej obsadzie, podobno zgodnie ze wskazówkami autora.

Sztuka

● Sejmowa Komisja Kultury i Sztuki uchwaliła dezyderat skierowany do Prezesa Rady Ministrów w sprawie prawidłowego wykorzystywania obiektów zabytkowych przez zakłady pracy oraz lokowania tam odpowiednich inwestycji. Jeszcze około tysiąca nadających się do tego obiektów architektury zabytkowej nie jest wykorzystywanych.

● W hallu Opery Wrocławskiej otwarto wystawę 55 obrazów i grafik robotników z Dolnośląskich Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Dolmel".

● W dniach 25—30 czerwca w Nowej Rudzie odbędzie się I Festiwal Studentów Szkół Artystycznych, na którym wystąpią młodzi aktorzy i reżyserzy teatralni i filmowi. Odbędą się również prelekcje i dyskusje.

● I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na ilustracje do dzieł Wł. Broniewskiego otrzymał J. Stanny.

● Okręt-muzeum „Burza" w Gdyni został znów udostępniony zwiedzającym. Urządzono tam dwie nowe wystawy: „1909 lat Polski na morzu" oraz „Marynarka Wojenna".

● W dniach od 31 maja do 3 czerwca w Lipsku odbędą się uroczystości obchodów 500 rocznicy urodzin znakomitego malarza niemieckiego Duerera. Odbędzie się m. in. międzynarodowe sesja naukowa oraz zostanie otwarta wielka wystawa twórczości Duerera.

Muzyka

● Koszalińska Orkiestra Symfoniczna z okazji 15-lecia istnienia została przemianowana na Państwową Filharmonię im. St. Moniuszki.

● Krakowska Filharmonia im. K. Szymanowskiego przebywa we Włoszech na trzytygodniowym tournee, podczas którego da 13 koncertów. W sierpniu Filharmonia wystąpi w Libanie, Iraku i Grecji. Podczas festiwalu w Atenach nastąpi światowe prawykonanie tryptyku Pendereckiego — Pasja, Męka i Zmartwychwstanie.

● Teatr Wielki w Warszawie wystawił premierę „Cyrulika sewilskiego" Rossiniego w reżyserii Danuty Baduszkowej.

● W Brukseli rozpoczął się międzynarodowy konkurs skrzypcowy im. królowej Elżbiety. Wśród 33 skrzypków z 18 krajów jest 5 Polaków.

Film

● Na tegorocznym festiwalu w Cannes kinematografię polską będzie reprezentował film „Życie rodzinne" reż K. Zanussiego.

● Andrzej Kijowski pisze dla Andrzeja Wajdy scenariusz „Wesela" Wyspiańskiego. Przed laty Wajda reżyserował „Wesele" w krakowskim Teatrze Starym.

● W ostatnich 7 latach ubyło nam 200 kin wiejskich, jest ich obecnie 1783. Przyczyna: starzenie się obiektów oraz telewizja.

● Jak wynika z ankiety paryskiej popołudniówki „France Soir", najpopularniejszymi aktorami w tym kraju są Jean Gabin, Belmondo i Delon, aktorkami zaś: Michele Morgan, Brigitte Bardot i Jeanne Moreau. Przoduje więc starsze pokolenie.

● „W ciągu 40 lat pracy w tym zawodzie po raz pierwszy uroniłem łzę" — wyznał kierownik kina „Rio" w Nancy (Francja) po premierze filmu „Umrzeć z miłości" reż. Andre Cayatte. Sprawozdawca tygodnika „L'Express" jednak dodał: „Płakał chyba tylko jednym okiem, ponieważ drugim musi się radować: kino jest stale wypełnione widzami".

● Aktorka angielska Susan Hampshire grająca Fleur w telewizyjnym serialu „Saga rodu Forsytów", kandyduje do najwyższej amerykańskiej nagrody telewizyjnej „Emmy" — ale za rolę w serialu „Pierwsi Churchillowie".

● W Los Angeles odbyło się doroczne rozdanie Oskarów. Aż siedem tych nagród uzyskał film „Patton" reżyserii Franklina Schaffnera.

Różne

● Tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy trwają od 9 do 30 maja. Głównymi akcentami są: Dzień Działacza Kultury 16 maja oraz dzień 23 maja, upływający pod hasłem „Książka w służbie ludzi pracy". Przy okazji warto dodać, że sieć placówek kulturalno-oświatowych w całym kraju obejmuje 23 tys. obiektów.

● 24 kwietnia minęła 200 rocznica urodzin (w Toruniu) Samuela Bogumiła Lindego, twórcy pomnikowego sześciotomowego „Słownika języka polskiego", którego pierwsze wydanie ukazało się w latach 1807—1814.

● Z okazji 26 rocznicy powrotu do Polski Wrocław otrzymał II program telewizyjny, który można odbierać w promieniu 15 km.

● Polskie Radio rozpoczęło nadawanie w każdy piątek w programie III „Radiowej encyklopedii kultury", która w ciągu 2 lat przedstawi całość dziejów naszej kultury od wczesnego średniowiecza do czasów obecnych.

● Pod hasłem „Księgarstwo trwałym ogniwem kultury narodowej" odbył się w Warszawie w dniach 23—24 kwietnia VII Walny Zjazd Stowarzyszenia Księgarzy Polskich.

● W Warszawie zakończyła się ogólnopolska Olimpiada Literatury i Języka Polskiego. Laureatami zostało 14 uczniów i uczenic, z tego 13 z klas maturalnych.

● Długotrwały spór o budynek „Granit" w Zakopanem, w którym przez wiele lat mieściła się MBN, wygrała ostatecznie kultura. Powstanie tu klub MPiK, galeria sztuki oraz pomieszczenia kulturalne dla młodzieży.

● L. Meisiejew, twórca i kierownik słynnego zespołu, otrzymał odznakę „Zasłużony dla kultury polskiej".

● W Lipsku rozpoczęła się największa impreza edytorska świata — Międzynarodowa Wystawa Książki „Iba-71" w Lipsku. Polska zaprezentowała tam około 200 pozycji.

● Według nowej teorii w USA Robert Louis Stevenson, autor głośnej książki „Dr Jekyll i Mr Hyde", zmarły w 1885 roku, tworzył ją pod działaniem kokainy. Napisał on ją w ciągu 3 dni i nocy, potem zniszczył rękopis i napisał ponownie także w ciągu 3 dni i nocy.

● Nowojorski student Raymond Scott po 11 latach pracy skonstruował maszynę, o której powiedział: „Do diabła z mękami twórczymi. Jest rzeczą potworną tracić półtora roku życia na skomponowanie jakiejś symfonii. Moje „Electronium" wykona to w ciągu pół godziny po naciśnięciu odpowiednich guzików".

Marina Vlady w filmie „Czas życia" ze swoim ekranowym narzeczonym.

Kamena str. 2

Z brulionu lektora

Od CSRS do ChRL

To już właściwie nie brulion, ale pęczniejące od nawału materiałów teczki. Lektorzy, mający zajęcia związane z problematyką międzynarodową, lubią gromadzić wycinki prasowe, choć łatwo w nich się zgubić. Jeśli więc chce się panować nad zebranym materiałem, konieczna jest stała selekcja.

A oto, co ostatnio wzbogaciło moje archiwum.

● W „Rudym Pravie", organie KC KPCz, znalazłem artykuł Gustava Husaka pt. „Programowy dokument teraźniejszości i przyszłości". Husak snuje refleksje związane z pierwszą rocznicą podpisania nowego układu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej między CSRS i Związkiem Radzieckim. Ów układ — pisze Husak — „traktujemy nie tylko jako zasadniczą orientację naszej polityki zagranicznej, ale także jako programowy dokument, który określa czechosłowacko-radziecką przyjaźń i współpracę obecnie i w przyszłości... Układ stał się wyrazem leninowskiej jedności interesów i celów obu naszych partii i krajów oraz potwierdził zdecydowaną wolę naszych narodów, by kroczyć zawsze jedną drogą z narodem radzieckim i nigdy inaczej".

Mówiąc o lekcji 1968 r. Husak stwierdza, że „prawicowi oportuniści w szeregach naszej partii stopniowo, a nawet jawnie szerokim frontem przeszli po styczniu 1968 r. na pozycje antyradzieckie i zaczęli świadomie naruszać nasze internacjonalistyczne więzi zarówno w dziedzinie obrony, jak i w gospodarce, a w polityce zagranicznej prowadzili kurs zmierzający do zerwania z naszymi najbliższymi sojusznikami. W ten sposób prawicowe siły w KPCz połączyły się z międzynarodowym prądem rewizjonistycznym, utożsamiły się z jego dążeniami do rewizji podstawowych zasad marksizmu-leninizmu i proletariackiego internacjonalizmu. Wspólną platformą stał się antysowietyzm. Taka koncepcja polityki zagranicznej zagrażała w konsekwencji nie tylko wewnętrznej stabilizacji i bezpieczeństwu państwa oraz jego suwerenności i pokojowym warunkom dla spokojnej pracy obywateli, ale także narażała na niebezpieczeństwo zachodnie granice obozu socjalistycznego, zagrażała strategicznym interesom socjalistycznej wspólnoty. Dlatego jedna z nauk, jakie czechosłowaccy komuniści wyciągnęli dla siebie z kryzysowego okresu lat 1968—1969 polega na tym, że będziemy i musimy strzec jak źrenicy oka świętej spuścizny postępowych sił naszych narodów i sojuszu ze Związkiem Radzieckim. W tej kwestii nie może i nie powinno być żadnych kompromisów. Życie potwierdziło jedną niezaprzeczalną prawdę: dla narodów naszego kraju nie może być ani wolności, ani niepodległości, ani socjalizmu poza przyjaźnią czechosłowacko-radziecką, nie może być antyradzieckiego socjalizmu, żaden przejaw antysowietyzmu nie da się pogodzić z członkostwem w szeregach ruchu komunistycznego. Antysowietyzm jest jednocześnie nieubłaganym przeciwnikiem żywotnych interesów naszego narodu, zdradą jego celów narodowych i społecznych".

● Na łamach moskiewskiej „Prawdy" ukazał się artykuł prof. Lwa Wołodarskiego, pierwszego zastępcy kierownika Centralnego Urzędu Statystycznego ZSRR, który skomentował główne wyniki spisu powszechnego w ZSRR. I tak np. w ub. r. ludność ZSRR powiększyła się o 2,2 mln osób i na początku 1971 r. liczyła 244 mln. Społeczeństwo radzieckie składa się z ponad 100 narodowości, przy czym trwa postępowy proces wzajemnego zbliżania się różnych narodowości i zwiększania ich zwartości. Ważną rolę w tym procesie pełni język rosyjski, który dla wielu narodów ZSRR jest drugim językiem ojczystym. Miliony ludzi należących do różnych narodowości uważają kulturę rosyjską za swoją własną, jak również za własny język uważają język rosyjski.

Spis wykazał, że w Związku Radzieckim jest 129 mln Rosjan, natomiast język rosyjski jako język ojczysty podało 141,8 mln osób, czyli 58,7 proc. ludności ZSRR.

Gdy w roku 1959 język rosyjski jako język ojczysty podało 10 mln osób należących do narodowości nierosyjskich, to w roku 1970 liczba ta wzrosła do 13 mln. 41,9 mln osób podało rosyjski jako swój drugi język, opanowany w stopniu pozwalającym na swobodne wypowiadanie się. 94 proc. ludności ZSRR uważa za swój język ojczysty język tej narodowości, do której należy, a 6 proc. uważa za taki język innych narodowości.

Zmiany liczebności poszczególnych narodowości — pisze prof. Wołodarski — świadczą, iż w ZSRR zachodzi proces konsolidacji narodów, podczas którego małe grupki etniczne łączą się z pokrewnymi im narodami. Towarzyszy temu procesowi asymilacja narodów ZSRR, w której toku ludność należąca do danej narodowości przyswaja sobie kulturę innej. Dotyczy to w szczególności np. narodowości mordowskiej, karelskiej, żydowskiej. Odpowiednio do tego zwiększa się lub zmniejsza ich liczebność.

W Związku Radzieckim nieustannie podnosi się poziom wykształcenia. W ciągu 11 lat liczba osób posiadających wykształcenie wyższe lub średnie (łącznie z niepełnym) wzrosła z 58,7 mln do 95,1 mln, czyli o 62 proc. Na tysiąc zatrudnionych wykształcenie wyższe lub średnie (włącznie z niepełnym) mają obecnie 653 osoby, podczas gdy w 1959 r. miały je 433 osoby.

● „Dyplomacja ping-pongowa" na linii USA — Chiny ciągle jeszcze budzi różne komentarze. Wspomnieniami z pobytu w ChRL podzielił się na łamach „Newsweek'a" kapitan amerykańskiej drużyny ping-pongistów, Jack Howard, 38-letni inżynier.

„Kiedy przekroczyliśmy granicę od strony Hongkongu, odczułem to jako coś nierealnego. Wszyscy byliśmy oszołomieni wielkim znaczeniem tego wydarzenia. Wtedy nagle zdałem sobie sprawę, że wchodzę w inny świat, tak jakbym stawał na Księżycu. „Boże — pomyślałem — jestem w drodze do Czerwonych Chin!"

„Pierwszą rzeczą, jaką można zobaczyć w Chinach, jest Mao. Mao tu, Mao — tam, Mao — wszędzie. Urzędnicy graniczni obładowali nas cytatami, fotografiami i broszurami Mao. Sądzę, że miałbym nadwagę bagażu w samolocie, gdybym to wszystko chciał zabrać z sobą w drodze powrotnej.

Od momentu wkroczenia do Chin staliśmy się bardzo ważnymi osobistościami. Wsiedliśmy do pociągu przed wszystkimi innymi osobami i mogliśmy wybrać sobie dowolne miejsca. Nawet pożywienie było specjalne. Każdy posiłek składał się z siedmiu lub ośmiu dań, które widziałem po raz pierwszy w życiu: dziwne gatunki ryb, ośmiornice i różnego rodzaju dania z gorącą papryką. Podali nam nawet coś, co nazywają morskim ogórkiem, pokrajany jest on na drobne kawałki i może niemal wypalić podniebienie. Jedna rzecz, która mi się nie podobała, to ilość pożywienia. Po prostu wciskali je w nas. Myślę, że próbowali zabić nas swoją uprzejmością.

Uderzyła mnie jedna rzecz: w Chinach nie widzi się rozmawiających na ulicy osób. Faktycznie nie ma tu żadnych przejawów emocji. Nie widać nawet chłopców czy dziewcząt idących razem. Niekiedy nie mogłem nie odnieść wrażenia, że znajduję się w wojskowym obozie dla rekrutów, ponieważ wszyscy wyglądali tak, jak gdyby byli w wojsku.

...Mecze rozgrywaliśmy przed 18-tysięczną publicznością na okazałym nowoczesnym stadionie, tak zatłoczonym, że nie dało by się tam wetknąć szpilki. Ludzie śmiali się jak jeden mąż, milczeli jak jeden mąż. W czasie całego spotkania nie było wątpliwości, kto jest ulubieńcem tłumu. Był nim Glenn Cowan, 19-letni student z Santa Monica. Ludzie z tłumu pociągali go za włosy sięgające mu do ramion, dotykali jego czerwonego kapelusza, który nosił, by włosy nie spadały mu na czoło.

Była to fascynująca wizyta, lecz absolutnie nie chciałbym zostać tam dłużej, nawet gdyby było można. Chiny nie są krajem w moim guście. Nasi gospodarze byli nadzwyczaj mili. Mogliśmy się nauczyć od nich kilku rzeczy: nie ma tam chciwości i pogoni za zyskiem, co jest cechą niektórych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Jednakże nie mógłbym tam wytrzymać ze względu na pożywienie i stan życia konieczny, by można było w Chinach przetrwać. Wydaje mi się, że jedyną słabością ich systemu jest to, że surowy tryb życia stał się cnotą. Surowość i prostota, zamiast środkiem do celu, stały się samym celem".

Monografia o Ukrainie

Zbiór artykułów syntetycznych o Ukrainie, wydany przez Uniwersytet Jagielloński, powstał w wyniku ścisłej współpracy z Uniwersytetem Kijowskim im. T. Szewczenki, datującej się oficjalnie od roku 1962. Dotychczas zostały wspólnie opracowane i opublikowane dwie pozycje, a mianowicie: „Przyjaźń bratnich narodów" (1968 rok) i „Kraków — Kijów" (1969 rok). Niniejsza publikacja jest również „wyrazem przyjaźni i dążenia do dalszego zacieśnienia kontaktów i zbliżenia między obu narodami, jest dowodem wielkiego zainteresowania Ukrainą pracowników Uczelni, zainteresowania szczerego i przyjacielskiego..." — jak stwierdza w przedmowie do tej książki prof. dr M. Klimaszewski.

W części pierwszej zatytułowanej „Teraźniejszość" umieszczone są informacje o środowisku geograficznym Ukrainy (M. Hess i M. Tyczyńska), a więc o budowie geologicznej, klimacie, stosunkach wodnych, glebach, roślinności i świecie zwierzęcym, podany jest też podział Ukrainy na jednostki fizyczno-geograficzne.

W tejże części omówione są również zagadnienia ludności Ukrainy (A. Jełonek), a następnie struktura ekonomiczna radzieckiej Ukrainy. Ukraina przedstawia się nam jako kraj z dużą przyszłością gospodarczą. „Coraz większy wpływ na kierunki dalszego rozwoju gospodarczego Ukrainy będą wywierać powiązania międzynarodowe ZSRR w ramach RWPG. Na skutek tego gospodarka Ukrainy będzie więc w przyszłości poważnym czynnikiem kompleksowego rozwoju wielkiego organizmu gospodarczego, jakim jest ZSRR, lecz w coraz większej mierze będzie się również przekształcać w ważne ogniwo światowego systemu socjalistycznego" — stwierdzają m. in. B. Kortus i J. Pawlik.

Część druga nosi tytuł „Przeszłość". Umieszczono tu artykuły syntetyczne dotyczące archeologii Ukrainy z epoki kamienia (Janusz K. Kozłowski), z epoki brązu i z wczesnej epoki żelaza (M. Gedl), z okresu późnołateńskiego i wpływów rzymskich (K. Godlewski). Następnie zaś przedstawiono w zarysie historię Ukrainy. Autorami artykułów dotyczących poszczególnych okresów w dziejach Ukrainy są: A. Podraza, W. Serczyk, J. Kozik i J. Kmiecik.

W. Witkowski przedstawił w dużym skrócie stanowisko języka ukraińskiego wśród innych języków pokrewnych, a także jego rozwój przede wszystkim w formie literackiej. Przypomina i podkreśla przy okazji o kontaktach języka ukraińskiego z polskim, które zaważyły w konsekwencji na późniejszym kształcie tego języka. Omawia też pokrótce wkład uczonych polskich do badań nad językiem ukraińskim. „W Polsce bowiem zainteresowanie językiem ukraińskim i studia nad nim posiadają wieloletnią już i bogatą tradycję".

R. Łużny podobnie przedstawia dzieje literatury ukraińskiej, która szczególnie w okresie XV—XVII wieku była w bliskich kontaktach z tradycją łacińsko-polską. „Silne wpływy myśli naukowej i religijnej zarówno katolickiej, jak i reformacyjnej, niektórych aspektów ideologii Odrodzenia, piśmiennictwa europejskiego, zwłaszcza zaś polsko-łacińskiego, a także języka i różnych form życia kulturalnego znajdują tu podatny grunt, zostają przyswojone i adaptowane". Jest to pierwsze po wojnie monograficzne ujęcie literatury ukraińskiej, świetny informator dla sławistów interesujących się tą sprawą.

O sztuce średniowiecznej Rusi Kijowskiej i jej związkach z Polską pisze E. Chojecka.

Całość książki sprawia przyjemne wrażenie, informacje są tu rzeczowe i na ogół po raz pierwszy po polsku w takiej formie przedstawione. Niepokoić może niekonsekwentne używanie nazw miejscowych z terenu Ukrainy. Oprócz tradycyjnych polskich używa się ukraińskich lub rosyjskich brzmień tych nazw. Takie brzmienia nazw miejscowych, jak Użgorod, Kaszyn, Gorodiszcze, Zwienigorodka, Lebiedin i wiele innych, wypisanych z mapy „Przemysł Ukrainy" po s. 194, nie są uzasadnione, gdyż tutaj nazwy ukraińskie transkrybowano tak, jak gdyby to były rosyjskie. Szkoda, że ekonomiści nie zwrócili się w tym względzie o pomoc do filologów.

M. Ł.

Ukraina. Teraźniejszość i przeszłość. Praca zbiorowa pod redakcją Mieczysława Karasia i Antoniego Podraży. Uniwersytet Jagielloński, CCXLII. Prace historyczne, zesz. 32. Kraków 1970 s. 424.

Jerzy Torończyk

Fot: J. Huzar (CAF)

A WIĘC nie stało Jerzego Torończyka, z którym współżyliśmy, mieszkańcy Lublina, przeszło lat dwadzieścia sześć do tego stopnia nierozłącznie, że zdawało się — nigdy nie było i nigdy nie będzie inaczej. Do najdotkliwiej szokujących należy ta śmierć, to okrutne wyrwanie spośród żywych, Człowieka tak żywotnego w najlepszym sensie słowa, jakim był po dzień ostatni Jerzy — dla wielu Jurek — Torończyk.

Wielką krzywdą jest nagłe przecięcie Jego życia, bardzo potrzebnego szerokim kręgom społeczeństwa, któremu On — artysta, organizator, społecznik — poświęcał niewyczerpane zasoby energii i talentu.

Na pewno nie będzie to banalnym frazesem, gdy się powie, że Jerzy Torończyk osierocił Teatr im. J. Osterwy. Był przecież związany z lubelską sceną dramatyczną od momentu jej powstania po wyzwoleniu. Zaledwie zdążył ukończyć gimnazjum w Warszawie, jak wypadki dziejowe skierowały Go, w latach 1940—41, do Studium Dramatycznego w Grodnie, przy Polskim Teatrze BSRR pod dyrekcją A. Węgierki, ale już od września 1944 r. pracuje w Teatrze Wojska Polskiego w Lublinie w charakterze asystenta scenografa, S. Teisseyre'a.

W r. 1948, za dyrekcji M. Chmielarczyka, otrzymuje Jerzy Torończyk stypendium w Paryżu celem pogłębienia wiedzy teatralnej. Odtąd zaczyna się szybki rozwój młodego artysty, którego talent służy już przede wszystkim Lublinowi.

W maju r. 1958 objął stanowisko dyrektora teatru. Jeszcze parę dni, a byłoby pełnych lat trzynaście: najbardziej trwałe kierownictwo na tej scenie. Sama ta trwałość świadczy już o harmonijnym współoddziaływaniu na placówkę talentu artystycznego i talentu organizacyjnego Jerzego Torończyka. Lecz najwymowniej świadczą o tym osiągnięcia lubelskiej sceny dramatycznej za Jego dyrekcji — fakty i cyfry, które zapisały się chlubnie w historii teatru Polski Ludowej.

Charakteryzując skrótowo te osiągnięcia w obliczu świeżej straty, jaką poniosła kultura na skutek zgonu Jerzego Torończyka, należy przede wszystkim zwrócić uwagę na Jego wytrwałe dążenie do unowocześnienia teatru przez realizację możliwie największej liczby sztuk współczesnych, zwłaszcza sztuk dramaturgów polskich. Tendencja ta zaakcentowała się zdecydowanie już na początku lat sześćdziesiątych, kiedy to na scenie Teatru Osterwy z inicjatywy Jerzego Torończyka ukazują się sztuki Brandysa, Gruszczyńskiego, Grochowiaka, następnie Iredyńskiego, Herberta, Mrożka i in.

Lecz niewątpliwie za naczelną zasługę Jerzego Torończyka jako dyrektora teatru uznać należy szeroko rozwiniętą akcję upowszechnienia kultury teatralnej. On to pierwszy pokierował nią na Lubelszczyźnie tak, że Teatr im. J. Osterwy docziera dziś do najodleglejszych zakątków Ziemi Lubelskiej.

Smutno, bardzo smutno robi się na myśl, że nie można powiedzieć zwyczajnie po przyjacielsku: „Dziękujemy Ci, Drogi za już, prosimy o jeszcze".

Tylu dzieł pięknych i pożytecznych mógłby dalej dokonywać ten nieprzeciętnie aktywny Człowiek. Żegnamy Go z niekłamanym żalem.

Nowy program stare kłopoty

Maciej Podgórski

ZALECONA przez V Zjazd PZPR weryfikacja szkolnych programów nauk humanistycznych objęła także, i przede wszystkim powinna objąć, język polski. W styczniu 1969 roku powołano komisję do spraw programów i podręczników języka polskiego, której przewodniczył prof. Zygmunt Jakubowski, a której ostatecznym celem było opracowanie nowego programu nauczania. Pracownicy naukowi wyższych uczelni, przedstawiciele Instytutu Pedagogiki, Centralnego Ośrodka Metodycznego oraz wydawnictw, a także nauczyciele-praktycy z różnych typów szkół — oto skład komisji. Dla tych samych celów powołano też trzy zespoły regionalne: w Katowicach, Krakowie i Wrocławiu.

Cząstkowym efektem prac komisji i zespołów były kolejne wersje projektów programów, dyskutowane w szerszym gronie nauczycielskim, głównie podczas kursów wakacyjnych w latach 1969 i 1970, oraz we wszystkich okręgowych ośrodkach metodycznych. Swój wkład ma tu również — oczywiście — Lubelski Okręg Szkolny; wiele postulatów nauczycieli Lubelszczyzny zostało uwzględnionych przez komisję, szczególnie w zakresie programu liceum ogólnokształcącego. Na temat kolejnych projektów wypowiadał się też Zarząd Główny ZLP w osobie Jarosława Iwaszkiewicza oraz Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza w osobie prof. Juliana Krzyżanowskiego.

Ostatecznym rezultatem wszystkich prac i konsultacji jest nowy program języka polskiego, który będzie realizowany od dnia 1 września 1971 roku i obejmie klasy: V—VIII szkoły podstawowej, I—IV liceum ogólnokształcącego oraz I—IV (V) technikum i liceum zawodowego. Czyli właściwie obejmie wszystkie typy szkół, bo zostanie również wprowadzony do szkolnictwa niestacjonarnego.

Na konferencji prasowej w Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego (13 IV b. r.) wręczono uczestnikom tekst nowego programu, wydany w formie powielaczowej — w 100 egzemplarzach. Do formy drukowanej zostanie dołączona broszura mówiąca o sposobach realizacji treści programowych, rodzaj mini-metodyki. Na razie wszak dysponujemy ową setką egzemplarzy, spośród których część została rozesłana do okręgowych ośrodków metodycznych, te zaś mają z nimi zapoznać nauczycieli. I z tym trzeba bardzo się spieszyć, należy bowiem raczej wątpić, by forma drukowana programu zdążyła ukazać się przed wakacjami, choć Ministerstwo zapewnia, iż ukaże się w czerwcu.

Zadzwoniłem do kilku lubelskich szkół średnich. Owszem, wiedzą, że będzie nowy program, przez radio podawano, w telewizji była dyskusja... I tyle. Tylko tyle? Nie mam prawa tej sytuacji uogólniać. Lecz gdzieś się tu chyba kontrowersja wyłania. Wprawdzie część nauczycieli poznawała na kursach śródrocznych i wakacyjnych oraz konferencjach metodyczno-szkoleniowych kolejne projekty programu, ale teraz idzie przecie o szeroką, całościową akcję, tak by każdy nauczyciel w każdej szkole jeszcze przed rozpoczęciem nowego roku zapoznał się z treściami i lekturami, które ma wykładać, by został poinstruowany pod względem metodycznym.

Nie jestem pewny, czy tegoroczna akcja kursów wakacyjnych, poświęcona głównie tym celom, potrafi w pełni rozwiązać sytuację. Ilu bowiem nauczycieli z całego kraju mogą przeszkolić takie kursy? Pilnie więc potrzeba, by kuratoria szybko uruchomiły odpowiednie środki na powielenie nowego programu i obdzielenie nim wszystkich podległych placówek jeszcze w tym roku szkolnym. Gdyby zaś szło o instruktaż metodyczny na naszym lubelskim podwórku, to wiem, że między 25 V a 5 VI zostaną wysłane do liceów ogólnokształcących obszerne materiały szkoleniowe (m. in. konspekty lekcji wg nowego programu).

Nie zamierzam, zresztą i nie mam możliwości, nikogo wyręczać. Toteż szczegółowe informacje o nowym programie nie są celem tego artykułu. Przeto parę tylko uwag ogólniejszych o sprawach związanych z liceum ogólnokształcącym.

Jak autorytatywnie stwierdzono na konferencji w Ministerstwie — większy niż dotychczas nacisk położono na „czynne posługiwanie się językiem w sytuacjach zbliżonych do naturalnych". Z tego można się tylko cieszyć jak zresztą w ogóle z faktu, że naukę o języku rozłożono w liceum na cztery klasy, a nie, jak dotąd, na trzy. Wpłynie to na odciążenie ucznia. Zresztą owo odciążenie stanowi zasadę całego programu. Zmniejszono więc w liceum liczbę lektur przeznaczonych do omawiania — usunięto 29 pozycji wprowadzając 23 nowe tytuły.

Ta renowacja i zarazem uszczuplenie pewnych lektur wiąże się też z ogólniejszą tendencją do szerszego potraktowania literatury współczesnej, dla której zarezerwowano kurs całej klasy IV, wprowadzając jako nowość problematykę syntezy historyczno-literackiej. Bardzo też zachęcająco wyglądają kolejne pozycje programu: „informacje o aktualnych wydarzeniach literackich i kulturalnych, jak rocznice, zjazdy, nagrody literackie" (klasa I—IV), „lektura artykułów, reportaży i recenzji — wybranych z czasopism społeczno-literackich" (klasa II), „lektura współczesnych utworów poetyckich, krótszych utworów prozatorskich" (klasa III—IV), „lektura artykułów, reportaży, esejów na temat literatury i sztuki, wybranych z miesięczników i kwartalników z zakresu humanistyki" (klasa IV).

Zestawu lektur obowiązkowych i lektur do wyboru nie chcę kwestionować. Każdy program ma swoje dobre i gorsze strony, bo każdy jest wyborem. Ten na ogół daje uczniowi niezłe pojęcie o najważniejszych pozycjach i nazwiskach nowszej literatury polskiej i powszechnej. Można by, oczywiście, to i owo wymienić, dodać, ująć etc. To zawsze można postulować na zasadzie „wydaje mi się", i to jest zajęcie nadzwyczaj jałowe.

Idzie mi o co innego. O przygotowanie nauczyciela do wykładania tej zwiększonej porcji literatury współczesnej, czy w ogóle do — sprawa stara jak świat — wykładania literatury najnowszej. Problem bynajmniej nie sprowadza się tylko do czysto ilościowej kwestii czasu, jaki muszą poświęcić nauczyciele, by ewentualnie zapoznać się z tymi lekturami, których nie znają.

Zacznijmy od początku. W 1965 roku w książce „Od czystej formy do literatury faktu" prof. Artur Hutnikiewicz pisał: *Uniwersyteckie studium historii literatury kończy się w istocie na Młodej Polsce. Absolwent uniwersytetu lat sześćdziesiątych, jeśli pasja i niecierpliwość poznawcza nie skłoniły go do poszukiwań na własną rękę, staje właściwie bezradny wobec zawiłe skomplikowanej rzeczywistości literackiej naszego wieku.* Chodzi o element ludzki, który dziś jest, a w każdym razie powinien być najprężniejszy — o młodych, ale już po pewnych zawodowych doświadczeniach, polonistów szkolnych.

Przyjmijmy, że sytuacja na filologiach uniwersyteckich ostatnio zmieniła się i że w przyszłości będą one wypuszczać samych tylko koneserów i ekspertów literatury współczesnej. Jak jednak wygląda sytuacja tych, którzy skończyli studia w latach sześćdziesiątych i wcześniej? Hutnikiewicz pisze dalej: *W naszej krytyce naukowej brak wydawnictw informacyjnych, brak zarysów i syntez, choćby cząstkowych i tymczasowych, ale przecież nieodzownych, jeśli szkoła na wszystkich szczeblach nauczania i wychowania nie ma stracić kontaktu z bieżącym życiem. Wciąż nie docenia się roli i społecznej wartości piśmiennictwa popularnego, olbrzymiego znaczenia popularyzacji w budowaniu świadomości kulturalnej narodu.*

Istotnie. Jakie bowiem od czasu książki Hutnikiewicza czy od momentu wydania zbioru spółki autorskiej: T. Kostkiewiczowej, A. Okopień-Sławińskiej i J. Sławińskiego pt. „Czytamy utwory współczesne" (Warszawa 1967), jakie — powtarzam — od tamtych czasów wydano pozycje z tego zakresu? Obarczony pewnymi brakami słownik Bartelskiego, potrzebny przecie i rozchwytany. „Czytamy wiersze" (Warszawa 1970) w opracowaniu Maciejewskiego, poszukiwany przez nauczycieli i rozchwytany „na pniu", czemu się zresztą nie dziwię, skoro nakład raptem 3 300 egzemplarzy. A syntezy podręcznikowej w zakresie nowszej literatury jak nie było, tak nadal nie ma i za bardzo nie zanosi się, aby była.

Jeśliby szło o Lubelszczyznę, to nasz ośrodek metodyczny radzi sobie w ten sposób, że nawiązał współpracę z Instytutem Filologii Polskiej UMCS. Dla wybranych nauczycieli liceów ogólnokształcących z okręgów: kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego w dniach 2—15 VII będzie zorganizowany kurs, prowadzony przez pracowników Instytutu. Problemowo ujęte na wykładach sprawy literatury obejmą też prozę i poezję współczesną. Piękna to inicjatywa, lecz doraźna raczej. Nie rozwiąże przeto w żadnym wypadku kwestii szerokiego wdrożenia pośród polonistów szkolnych nowoczesnej wiedzy o nowoczesnej literaturze. To mógłby rozwiązać tylko podręcznik dla nauczyciela, w przybliżeniu chociaż dostosowany do nowego programu, a takiego podręcznika właśnie brak. Tak samo brak właściwie podręcznika dla ucznia, bo od dawna — jeśli idzie o szkolne podręczniki literatury — sprawa jest niewesoła i stanowi funkcję wieloletniej kolomyjki Instytutu Badań Literackich wokół — z kolei — podręcznika uniwersyteckiego.

Nie koniec na tym. Wprowadzono do programu szereg nowych lektur. Zresztą kosztem pozycji mało już aktualnych i mało interesujących z artystycznego punktu widzenia. Bardzo dobrze się stało. Kwestia tylko — jak osiągnąć te nowe lektury, skoro od dawna wiadomo, że zaopatrzenie rynku w lekturę szkolną nie zawsze było wystarczające.

Dokończenie na str. 11

Zbigniew Jasny

Lekcja

Notujemy
sztuka wojenna
teatr działań wojennych
Widzę
wroga nieprzyjaciela
aktora na scenie obrotowej
Biegnie w wysokim świetle dnia
pada
przepisowo czołga się w bok
hełm odpryskami słońca kłuje moje oczy
drgająca muszka wylatuje ze szczerbinki
związuje nasze ciała
biegnie twarz rośnie wstrzymuję oddech
łagodnym ruchem wskazującego palca
nakazuję mu zdziwienie i przewrócone niebo
Nikt nie bije braw kurtyna nie zapada
krew jest krwią
metafora uleciała
z ostatnim oddechem
świetnie świetnie woła kapitan
i zostawia mnie
pochylonego nad sobą
z oceną bardzo dobrą

Dramat w jednym akcie

W zamkniętym owocu
gnije nasienie
owoc spada
tynkiem w hoteliku
kategorii trzeciej
gdy świt zastaje oczy schowane
w prześcieradło pachnące chlorkiem
Jest to poularny
dramat obcości
o ludziach co znaleźć chcieli
perłę
a zrodzili muszlę
którą teraz ukryją
w najgłębszej kieszeni
przed okiem moralisty

Lublin

Aleksander Rozenfeld

* * *

po człowieku zostaje
niedopita szklanka herbaty
Ulisses niedoczytany
fiolka po luminalu
zostanie po mnie
niedochodzona do końca para butów
pijany Wojaczek mnie wspomni
mała zapyta kiedy wróci tata
a potrzeba mi było tylko trochę ciepła

Lublin

Zaczęło się w Łukowie

Janina Fabierkiewicz-Szyrkowa

Fot. Urbanowicz

Niżej drukujemy obszerne fragmenty pracy, która zdobyła drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w konkursie na pamiętniki i wspomnienia były więźniów Zamku lubelskiego i gestapo przy ul. Nowotki.

Autorka, Janina Fabierkiewicz-Szyrkowa, urodziła się w Łukowie. Po ukończeniu historii na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczęła praktykę nauczycielską w Łukowie i tam zastała ją wojna. Niemal od pierwszej chwili wzięła udział w walce konspiracyjnej, pełniąc niebezpieczną funkcję łączniczki pomiędzy Łukowem a Lublinem oraz Łukowem a pobliskimi wsiami i osiedlami. Szefem kurierek była na tym terenie jej koleżanka – Maria Fedorowiczowa.

Janina Fabierkiewicz została aresztowana pod koniec marca 1941 roku. Pierwsze dwa tygodnie trzymano ją w więzieniu w Radzyniu Podlaskim, następnie do września tego roku na Zamku w Lublinie, przy czym przesłuchania odbywały się w budynku gestapo „Pod zegarem". Następnie autorkę wspomnień wywieziono do obozu w Ravensbrueck, gdzie udało jej się przetrwać do końca wojny. Po powrocie do kraju zamieszkała w Warszawie i dziś pracuje tam w Komitecie Płacy i Pracy.

W przyszłym roku nakładem „Książki i Wiedzy" ukaże się jej książka pt. „1499 dni – Ravensbrueck".

(...) Duży wpływ na zdecydowaną postawą młodzieży łukowskiej w walce podziemnej miały chyba również wydarzenia z 18 września 1939 roku. W dniu tym hitlerowcy, mszcząc się za śmierć kilku żołnierzy niemieckich poległych w potyczce z wracającymi z frontu żołnierzami polskimi, dokonali karnej ekspedycji na Łuków.

Była niedziela, godziny popołudniowe. W pewnej chwili od strony Siedlec przyjechały samochody ciężarowe naładowane żołnierzami. Zatrzymały się w centrum, żołnierze niemieccy rozbiegli się po mieście, wyciągali mężczyzn i pędzili na plac przed kościołem, inni benzyną z rozpylaczy oblewali domy i podpalali je. Kilku mieszkańców miasta zastrzelono, pozostałych przy akompaniamencie wrzasków i bicu kolbami gdzieś popędzono. Część miasta spalono, nie pozwalając ratować dobytku i strzelając do tych, którzy próbowali wynosić coś z palących się domów.

To wszystko połączyło łukowiaków. Zaczęła się cicha, ale zacięta walka z okupantem, polegająca początkowo na podtrzymywaniu ducha wśród ludzi, bojkotowaniu wszystkiego co niemieckie, na bojkotowaniu ludzi, którzy utrzymywali stosunki z Niemcami, na słuchaniu radia i kolportowaniu wiadomości oraz na wzajemnej pomocy. Ponadto praca konspiracyjna polegała również na konserwacji i lepszym zabezpieczeniu broni ukrytej przez kleberczyków, pomocy żołnierzom rozproszonym po wsiach, organizowaniu sieci informacyjnej. (...)

Woziłam rozkazy, jakieś paczki, gazetki, przewoziłam meldunki. Praca nie była trudna, ale pełna napięcia nerwowego. A to, że byłam związana tajemnicą, sprawiało mi wiele kłopotu w domu — zaczęła się taka podwójna konspiracja. Wyjazdy na teren powiatu łukowskiego nie wzbudzały podejrzeń. Bliscy byli przyzwyczajeni do moich wędrówek na rowerze i nie zwracali na nie uwagi. Wyjazdy do Lublina były sprawą o wiele bardziej kłopotliwą.

Komórki naszej organizacji były czynne w wielu ośrodkach. Piszę „naszej organizacji", ponieważ wtedy nie znałam jej nazwy. Któż zresztą pytał o nazwę i ideologię. To był koniec roku 1939 i początek 1940. Łączyli się ludzie różnych przekonań, różnego pochodzenia społecznego, wieku, płci, zainteresowań. Jedyną ideą, która nam przyświecała, była walka z wrogiem. (...)

Otwierają się drzwi, wchodzi gestapowiec. „Komm" — to do mnie.

Wstaję, wchodzę do drugiego pomieszczenia i o dziwo — strach, który mnie paraliżował, gdzieś znika, tylko w głowie pustka, zupełnie jak po wejściu na salę egzaminacyjną, gdzie czeka profesor. Jestem w palcie, staję naprzeciwko Niemca siedzącego za biurkiem, przyzwyczajenie z wolności jeszcze nie minęło, opieram się lekko palcami o biurko. Nagle wrzask, gestapowiec wyskoczył zza biurka, przyskoczył do mnie i otrzymałam siarczysty policzek, zatoczyłam się pod ścianę.

Coś tam wykrzykuje dalej, nie rozumiem, ale chyba wymyśla mi, że ośmieliłam się w jego obecności oprzeć o biurko. To był pierwszy szok. Nie tylko dlatego, że uderzenie było silne, ale i dlatego, że po raz pierwszy w życiu ktoś mnie uderzył w twarz. Podziałało to jak smagnięcie batem. Wyobrażam sobie, że tak reaguje rasowy koń: zamiast pokory zaczyna wierzgać. Tak było i ze mną. Zadarłam głowę, zacisnęłam pięści i stałam tak naprzeciw „władcy świata" czekając, co będzie dalej. (...)

Przywieziono nas do prowizorycznego więzienia w Radzyniu. Brudna cela, na środku zbiorowa prycza zbita z desek. Do naszej grupki dołączono jeszcze Gienię Mann — pracownicę jakiejś kuchni niemieckiej na terenie Radzynia, oskarżoną o zatruwanie pokarmów. Cały ciężar badań w tej przejściówce spadł na nią, bito ją po rękach, wracała do celi z rękami sinymi do łokci, z palcami spuchniętymi jak kiełbasy. Gienia bardzo dzielnie się trzymała, jeszcze im wymyślała, znała przecież tych „panów" jako swoich klientów w stołówce. (...)

Starzy ludzie, księża w sutannach, Żydzi w chałatach, ludzie z brodami, w okularach, łysi, niektórzy z brzuszkami — wszyscy kucali, skakali żabkę, a jeżeli ktoś nie miał siły, brak mu było tchu — bito go batem, gdzie popadło. Inną zabawą były podskoki przy uderzeniach batami po nogach.

Specjalne przedstawienie następowało jeżeli u kogoś znaleziono wesz (przelazła prawdopodobnie z brudnych prycz). Ustawiano wtedy więźniów w kółko, w środku ten, który miał wesz, i miejscowy aptekarz, również więzień. Zawszony musiał skakać na czworakach i szczekać na aptekarza — a widzowie musieli się śmiać, głośno śmiać. Niemcy robili to z przyjemnością, była to dla nich świetna zabawa. I takie obrazki miałyśmy codziennie rano. (...)

Konwój nasz dotarł do Lublina, ciężarówki skręciły pod górę i podjechały pod bramę, nad którą wznosił się masyw starej, dużej budowli. SS-mani zeskakują z samochodów, odrzucają klapy i od razu: schneller, schneller, loss, loss, weiter. Wrzask, bicie, popychanie. Wprowadzają nas do ogromnej, wysokiej sieni o starych kamiennych sklepieniach. Sień ta jest przedzielona ciężkimi bramami, po przejściu drugiej bramy popychają nas pod ścianę twarzą do muru, ręce do góry. Czekamy. Z drzwi, znajdujących się w przeciwległej ścianie, wychodzi jakiś urzędnik i kolejno wzywa kogoś z nas. (...)

Rozmieszczają nas każdą osobno, ja dostaję się do celi numer 42. Ponure wnętrze, kibel, kilka prycz przypiętych do ściany, małe okienko wysoko pod sufitem i obce twarze.

Nie pamiętam z kim siedziałam, byłam tak zaszokowana, że ta cela i te kobiety nie utkwiły mi w pamięci. A zresztą mój pobyt tam był krótki, zabrano mnie za kilka dni na gestapo, już do tej celi nie wróciłam. Do czasu zabrania mnie do gestapo żyłam jak w koszmarnym śnie. Ciągłe czekanie to chyba najstraszniejsza tortura więzienia, czekanie na to, co będzie. Przekonałam się o tym i później. (...)

Na początku kwietnia któregoś ranka otwierają się drzwi celi i: „Fabierkiewicz chodź". Wychodzę, oddziałowa przekazuje mnie w ręce gestapowca. Wyprowadzają mnie z Zamku i wiozą samochodem z więźniami mężczyznami. Podjeżdżamy pod szary gmach — to lubelskie gestapo. Wprowadzają przywiezionych na korytarz i schodami w dół do podziemi. (...) Idę wąskim przejściem między ścianą a celami. Cele zamiast drzwi mają kraty, w celach nie ma lamp, oświetlają je tylko małe żarówki, umieszczone na przeciwległej ścianie korytarza.

W mojej wąskiej, ciemnej celi prycza piętrowa stojąca pod ścianą, między nią a ścianą wąskie przejście prowadzi do okratowanego okienka, przez które widać podeszwy przechodzących ludzi. Raz obcasiki pań, raz buty męskie; jedne eleganckie, inne podniszczone z podartymi zelówkami. A najczęściej podeszwy podkute gwoździami — to wartownik defilujący przed oknami i pilnujący podziemi gestapo. Jestem w ciepłych butach i palcie, które przez pięć długich tygodni, ciężkich tygodni, będzie dla mnie kołdrą, poduszką, materacem i okryciem. W celi stęchlizna, wilgoć, brak nawet przysłowiowego kibla. Więźniów wyprowadza się do toalety dwa razy na dobę. Będzie to dla mnie po jakimś czasie prawdziwa tortura. (...)

Gestapo, zwykły dzień. Rano człowiek zwlekał się z obolałymi kościami z pryczy i po krótkiej „toalecie" następowało czekanie i słuchanie. W jednej celi szlochanie, w innej jęki. Pamiętam noc, kiedy kogoś przyprowadzono z góry, z przesłuchania. Zbity, zmaltretowany, półprzytomny jęczy, a przez jęki słychać słowa: mamo, żono, przebaczcie, nie wytrzymałem, o Boże...

Wyprowadzają do ubikacji i wtedy, idąc, widzę mężczyzn boso, nogi sine, popuchnięte, nie mogą założyć butów. Twarze z oczami podbitymi, z krwawymi guzami na głowach, sine, z ustami nabrzmiałymi, poprzecinanymi od uderzeń pejcza. Jedni mężczyzni leżą, drudzy siedzą skuleni, inni znowu z twarzami przy kratach patrzą przed siebie oczami rozszerzonymi bólem.

I tak czekam na zeznania, strasznie się denerwuję, boję się, boję się okropnie bicia i tortur, a mam ku temu powody. (...)

Wreszcie po pięciu tygodniach pobytu w gestapo zabrano mnie na górę. Pokój, do którego mnie wprowadzono, oszołomił mnie światłem, słońcem, oddechem wiosny — to był koniec kwietnia lub początek maja. Przez okno widać było zielone drzewa, kwiaty.

W pokoju dwa biurka i na środku stół z kompletem pejczy. Radio grało na pełny regulator. Posadzili mnie przy jednym biurku, przy drugim zeznawał jakiś mężczyzna. Naprzeciw mnie „Cyklop", tak nazywano jednego z katów, który miał szklane oko i opinię zwyrodnialca, najgorszego kata, który prowadził najcięższe sprawy. Obok mnie tłumacz.

Trzymałam się kurczowo tego, co usłyszałam od Stacha Połońskiego w Łukowie zaraz po moim aresztowaniu i wymieniłam nazwiska tych ludzi, o których wiedziałam, że zginęli w Oświęcimiu. Po pytaniach i wrzaskach rozkaz: rozbieraj się! Nagą rozciągnięto mnie na stole. Ręce i nogi rozstawiono na rogi stołu, twarzą do podłogi, grdyka oparta o kant stołu. I pejczem, zakończonym ołowianą kulką, bili po biodrach, po kościach, po kręgosłupie. Jednocześnie pytania: gdzie jeździłaś, z kim miałaś kontakty, nazwiska, nazwiska.

Niewiele się ode mnie dowiedzieli, bo właśnie kiedy mnie bito, rodziła się we mnie jakaś zawziętość, duma, pogarda dla nich. Gdyby po biciu podeszli do mnie inaczej, gdyby choć pozorowali współczucie, serdeczność, nie wiem, jaki byłby skutek. Może otrzymaliby odpowiedź na niektóre pytania. Byłam taka biedna, może bym się załamała. Ale przy ich brutalności czułam tylko zawziętość. Niech mnie zabiją — nic nie wskórają.

Wreszcie kazali się ubrać i znowu: nazwiska, adresy. W pewnej chwili otworzyli drzwi i odwrócili mnie twarzą, żebym patrzyła. A tam, za drzwiami, na podłodze, nagi mężczyzna skuty w „karabin", z maską na twarzy, a dwaj oprawcy w koszulkach z zawiniętymi rękami biją go pejczami. On ryczy, dusi się, charczy... To miało mnie zmiękczyć. A ja wprost przeciwnie — zupełnie otępiałam.

Coś tam szwargotali między sobą, nie znam niemieckiego. Nagle usłyszałam słowo „Fater". To rozumie każde dziecko. „Fater" powtarzało się długo. Ogarnęło mnie przerażenie: czego chcą od ojca? Krzyknęłam do tłumacza: ojciec nic nie wiedział, był przeciwny wszelkiemu oporowi, uważał go za bezsensowny!

Bałam się o tatusia, chciałam go za wszelką cenę bronić, opanował mnie strach. Gdzie ojciec? Co się z nim dzieje? Czy jest już w ich rękach? I wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo go kocham, że myśl o tym, iż może dostać się w ich ręce i być poddany torturom jak ten za drzwiami, jest nie do zniesienia. Jurek gdzieś mi umknął w tych uczuciach, o niego się nie bałam, tylko o ojca, choć przecież też nie wiedziałam, gdzie on jest, czy go już nie schwytali.

W momencie mego załamania — wtedy, kiedy pod czaszką kłębiły się rozszalałe myśli, kiedy gorączkowo szukałam wyjścia, jak wybronić już nie siebie, ale ojca — nie wiem, co by się stało, gdyby nie niespodziewana odsiecz w postaci komendanta gestapo.

Przesłuchanie trwało już wiele godzin, zrobiło się ciemno, w pokoju zapalono światło. Komendant z pejczem w ręku podszedł do nas. Przesłuchujący zerwali się, stanęli na baczność. Heil Hitler, ręka w górę. Ja siedziałam. Komendant o coś ich pytał, postawił nogę na moim krześle i bił się pejczem po długich butach. Podczas ich meldowania znowu słyszałam słowo „Fater". W pewnej chwili zwrócił się do mnie tłumacz, przekładając słowa komendanta:

— Albo będziesz pracować dla nas, albo — i wymowny gest do skroni — albo kula w łeb.

Oniemiałam. Nie byłam przygotowana na taką propozycję. A oni patrzyli na mnie i czekali na odpowiedź. I wreszcie jedno, co mogłam wykrztusić, to słowa:

— Przecież ja jestem Polką.

I po raz pierwszy podczas tych przesłuchań, a może w ogóle po raz pierwszy po aresztowaniu, rozpłakałam się. Chusteczki do nosa nie miałam, łzy kapały mi, pociągałam nosem. Tłumacz podał mi serwetki papierowe, leżały gdzieś na boku.

Dali mi spokój, wyprowadzili. Tłumacz odprowadził mnie do celi i pod nosem burczał: Pole, Pole. Od tego czasu gdy przychodził „besuch" słyszałam słowa: diese Pole.

I znowu siedziałam w celi i czekałam. Na co? Na nowe bicie?

Po kilku dniach mój tłumacz przyszedł do celi, kazał mi pożyczyć od którejś koleżanki jakiś żakiet — ja byłam w zimowym palcie, a to był maj. Przyniósł mi puderniczkę, szminkę, kazał się oczyścić, uczesać, umalować, słowem doprowadzić do porządku i zabrał ze sobą na górę.

Wyprowadzono mnie z gmachu gestapo. Ulica zalana słońcem, śliczna pogoda, tłumy ludzi, kobiety w jasnych sukienkach. Za mną mój „cyklop" po cywilnemu i mój tłumacz też po cywilnemu, eleganccy, szarmanccy. Tłumacz bawił mnie rozmową. Gdzie idziemy? Naprzeciwko park lubelski.

— Pokaż, gdzie chodziłaś po przyjeździe do Lublina.

— Nie znam Lublina, nie pamiętam, adres miałam napisany.

— Może to tu? Może tu? — są stanowczy, oprowadzają mnie po ulicach.

I znowu w głowie chaos — co robić, co mówić? W perspektywie nowe przesłuchanie, nowe bicie, a jeszcze nie przyszłam do siebie po tym ostatnim. Myślę intensywnie, rozważam sobie i przypominam. Wtedy, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Lublina, miałam dwa kontakty. Pierwszy w sklepie cukierniczym, gdzie miałam spytać o jakieś cukierki miodowe i otrzymać umówioną odpowiedź. A drugi, zapasowy, gdybym w pierwszym miała trudności, jakieś mieszkanie bodajże przy ulicy Parkowej. Tam miałam pytać o jakiegoś pana Pawła, a może inny pseudonim — nie pamiętam.

Przyjechałam wtedy z Jurkiem, przywiozłam fotografie, kennkarty i jakieś meldunki. Pamiętam, jak weszłam do tego sklepu z duszą na ramieniu i wypowiedziałam swoje hasło. W sklepie były trzy osoby, mężczyzna, kobieta i jakiś klient, ale moje słowa nie wywołały właściwej odpowiedzi. Poprosiłam jeszcze raz o te cukierki i znowu odpowiedź nie taka. Przeprosiłam, wyszłam skonsternowana i nie wiedziałam, co dalej robić.

Poszliśmy wówczas z Jurkiem do parku i medytowaliśmy. Wreszcie postanowiłam, że trzeba podjąć próbę skomunikowania się z osobą pod zapasowym adresem. Jerzy został z tyłu. Weszłam do domu przy ulicy Parkowej, otworzył mi starszy pan. Zapytałam o Pawła.

— Nie ma, mieszkał, ale już się wyprowadził.

Już zupełnie zdezorientowana wracałam tą samą drogą, którą przyszłam. Podszedł do mnie jakiś kulejący człowiek i zapytał, czy jestem z Łukowa. Okazało się, że to właśnie był ten „on". Skierował mnie pod inny adres do kobiety o pseudonimie „Zofia". Tam już bez pudła oddałam swój bagaż i otrzymałam bibułkę, którą wsadziłam pod podszewkę rękawa i wróciłam do zaniepokojonego Jerzego.

Papier, który wtedy wiozłam, był pierwszym rozkazem generała Sikorskiego do żołnierzy Polski Podziemnej, w którym między innymi członkom organizacji konspiracyjnych w Polsce nakazywano, by zawsze mieli przy sobie cyjanek.

Wszystko to stanęło mi przed oczami podczas tego „wspaniałego spaceru". Co robić, co robić? Jestem potwornie zmęczona i przerażona, boję się tortur i boję się kogoś narazić. Oni też mają już dość. Zaczynają grozić aresztowaniem ojca.

Wreszcie decyduję się — tam na pewno nikogo nie ma, już wtedy, rok temu, nikt tam nie mieszkał. (...)

Przyszedł wreszcie dzień „wolności", odwieziono mnie na Zamek. Jakaż ulga — jestem na Zamku, gestapo daleko, może zostawią mnie w spokoju. Wracam do celi nr 38. (...)

Okienko naszej celi, jak zresztą wszystkie, wychodziło na podwórko, naprzeciw bramy prowadzącej do więzienia kobiecego. Pamiętam, tkwiłam wtedy przy okienku. Otwiera się brama, wchodzi strażnik, coś mówi z oddziałową. Oddziałowa znika w korytarzu więziennym i wraca z kocem oraz kilkoma więźniarkami. Przechodzą bramę. Po długiej chwili ukazuje się pochód, oddziałowa, za nią więźniarki trzymające koc za rogi, na kocu prawie naga kobieta, nieprzytomna, cała sina. (...)

Któregoś wieczora, w czerwcu, w celach ruch, szczękały klucze, stukały drzwi. Do naszej celi też weszli hitlerowcy. Apel, dwurząd, meldowanie. Wyczytano nazwiska, wyprowadzono wywołane więźniarki i zgromadzono je w jednej celi. Funkcyjne przyniosły wiadomości, że przez okno korytarza widać ciężarówkę, na którą wrzucano kilofy i łopaty. Idzie hiobowa wieść po celach: rozwałka, kobiety będą kopać sobie groby. (...)

Następuje nowa rozwałka mężczyzn i kobiet. Zabrano też Zośkę Szlendak z Łukowa, aresztowaną przed nami. Wzięto wtedy pięć kobiet. Po pewnym czasie dowiedziałyśmy się, jak szły na śmierć. Zosia, dzielna dziewczyna, nie tylko szła z godnością, z głową do góry, ale podtrzymywała i dodawała odwagi innym. Wywieziono je poza więzienie i tam rozstały się ze swoim młodym życiem.

W tym samym czasie umiera aresztowana razem ze mną matka Maryśki Fedorowiczowej i Oli Rubachowej, pani Śledziowa. Staruszka nie wytrzymała warunków więziennych, utraty domu, aresztowania Oli, swojej starszej córki, i lęku o Marysię oraz wnuczkę Dzidkę. (...)

I oto Ola zobaczyła, jak otworzyła się brama, a przez nią wprowadzono jej Dzidkę, ukochaną jedynaczkę, która ukrywała się razem z Marylką po wpadce w Lublinie. (...)

Maryśka zażyła truciznę. Może cyjanek był zwietrzały lub dawka za mała, dość, że nie umarła od razu. Już w samochodzie, którym je wieziono, miała straszne bóle, jednak błyskawiczna śmierć nie nastąpiła. Zawieziono je na Pawiak, Dzidkę do celi, Maryśkę do szpitala więziennego. Przepłukiwano jej kilkakrotnie żołądek, podobno była skuta. Siedział przy niej gestapowiec, chcieli z niej coś wyciągnąć. Była dla nich cenną zdobyczą, ale odeszła po mękach — milcząc. Dzidkę przewieźli na Zamek do Lublina, gdzie siedziała cała „sprawa łukowska" i tak spotkały się matka z córką.

Kołodzieja przywieziono też na Zamek. Umieszczono go w baszcie, gdzie były najcięższe cele dla mężczyzn, mających najpoważniejsze obciążenia. Po jakimś czasie wywieźli go razem ze Stachem Połońskim do Oświęcimia. Rzeczy ich zwrócono do więzienia jeszcze przed naszym wywiezieniem do Ravensbrueck. Musiał się, mimo rany, trzymać dzielnie, bo nie było dalszych aresztowań. (...)

Gdzie jedziemy? Co z nami zrobią? Strażnicy odpowiadają, że do Rzeszy. (...) Przejeżdżamy przez Łuków. Pomimo zakazu tkwię z nosem przy szybie. W czasie postoju napisałam krótką karteczkę do swoich, którą udało mi się wyrzucić w tłum na peronie. Podobno ktoś mój gryps zaniósł do domu, stąd dowiedzieli się, że nas wywożą. O tym, że jedziemy do Ravensbrueck, dowiedziałyśmy się dopiero na terenie Rzeszy. (...) Przyjechałyśmy do Warszawy. Ładują nowy transport kobiet — to więźniarki z Pawiaka. (...)

Na peronie stali ss-mani i ss-manki z psami i pejczami w rękach, jak złe widma we mgle. Otworzyły się drzwi wagonów i od razu wrzask: schneller, schneller, loss. Popychanie, popędzanie, bicie, szczucie psami. Ustawiono nas w piątki, policzono, załadowano do podjeżdżających samochodów i powieziono ku naszemu przeznaczeniu.

Przez miasteczko, potem przez las sunął nasz konwój do żelaznej, ażurowej bramy, za którą był nasz nowy „dom".

Znany i nieznany

Dokończenie ze str. 1

i własne zęby, nie dokuczały im nerki, wątroba i serce. Dla nich Lublin najpiękniejszy był wtedy. Z rynsztokami na ulicach, dniami targowymi i brukiem upstrzonym końskim łajnem. Ejże! To przecież nie ma jeszcze 20 lat, gdy z mostu na ul. Buczka zdjęto nawierzchnię z drewnianych klepek, układanych na sztorc, tłumiących stuk kopyt. To przecież nie ma jeszcze 20 lat, gdy jedyny kawałek asfaltu w mieście leżał na ul. 22 Lipca (a w województwie na niewielkim odcinku drogi z Lublina do Kraśnika).

Pokolenia mego ojca pamięta, jak na obecnej ul. Kunickiego tuż za tunelem, po jednej stronie drogi do Bychawy rósł podmokły lasek, a po drugiej były pola uprawne. Ludzie 50-letni mają obraz miasta z dziesiątkami restauracyjek i knajp, szykowną Resursą Obywatelską, prostytucją uliczną za Bramą Krakowską, na Lubartowskiej i Kowalskiej, labiryntem dzielnicy żydowskiej, pejsatymi handelesami i osadę Wieniawa, do której niebezpiecznie było zapuszczać się po zmroku. Gdy ja zaczynałem w roku 1945 chodzić do gimnazjum, Lublin kończył się na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Lipowej. Dalej były drobne wysepki budynków: KUL, kompleks „pod zegarem", szkoła im. Staszica — a Sławinek to coś odległego, może bardziej niż dziś Jastków. Pierwsze autobusy po wyzwoleniu dojeżdżały zaledwie do Saskiego Ogrodu. Dzisiejsza młodzież przed trzydziestką niegdyś wagarowała, czy też randkowała na Rurach, na polach, gdzie obecnie stoją osiedla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Kliniki weterynaryjne Wyższej Szkoły Rolniczej lokalizowano z myślą, że będą poza miastem, że miasto i uczelnia nie będą sobie nawzajem przeskadzać.

Oto tempo, w jakim rozwija się miasto. Tempo coraz szybsze i szybsze. Trzeba sobie z tego zdać sprawę, żebyśmy rozumieli, jak dzisiejsze działanie ma wpływ na przyszłość, jak brzemienne będzie w konsekwencję — dobre i złe. O te kliniki nieraz toczyły się dyskusje. Jak można było je tu postawić? Jak one wyglądają pod bokiem wieżowców? Zburzyć koniecznie! Rozmawiałem z licealistami urodzonymi gdzie indziej, ale od dzieciństwa zamieszkałymi na LSM-ie, czującymi się patriotami osiedli im. Mickiewicza czy im. Słowackiego. Dla nich kliniki to zabytek. Okienka takie małe, jak na wsi w podworskich budynkach, dużo zieleni i jak się przechodzi tamtędy, można czasem żywą krowę z cielęciem zobaczyć czy świnię, co za frajda. Fajnie, że kliniki tu są.

Urodziłem się w Lublinie, mieszkam w nim stale, nie licząc kilku niewielkich przerw. Od dwudziestu lat pracuję w lubelskiej prasie, przez cały czas zajmując się w tym czy innym stopniu problematyką miejską. Przepraszam za akcent osobisty, ale wydaje mi się, że to daje człowiekowi jakąś znajomość spraw, a nawet topografii. Jednak jestem ciągle czymś zaskoczony. Oto czytam w prasie o planowanej budowie nowego osiedla mieszkaniowego — Maki. Zaraz, zaraz, gdzie to będzie? Doprawdy nie mogę sobie przypomnieć. Nie, nie ma takiej dzielnicy i nigdy nie było. Ktoś zatem wymyślił sobie nazwę, nie licząc się z realiami, z tradycjami. A jednocześnie usuwane są w cień, administracyjnie niemal, stare nazwy. Patrzę na plan Lublina. Gdzie jest Bychawska? Nie ma. Bychawską nazywano dzielnicę ciągnącą się wzdłuż ulicy Bychawskiej, od Nowego Światu do Krańcowej i Wyścigowej. Czyli, jak się lokalnie mówiło, od Izraelity (dużego domu czynszowego) do figury (kapliczki przydrożnej). Potem nazwę ulicy zmieniono z Bychawskiej na Kunickiego, ale nazwy dzielnicy nikt nie zmienił. Leży ona w południowej części miasta, w kierunku na Bychawę. Mieszkańcy, przynajmniej starsi, mówią nadal „mieszkam na Bychawskiej". Dla lublinian świeżej daty i dla młodszego pokolenia z innych dzielnic, to określenie niczego nie wyjaśnia. Więc mówi się „mieszkam na Kunickiego" albo „na bocznej Kunickiego", co nie zawsze jest prawdziwe, bo np. ulica Wojenna czy Nowy Rynek są raczej równolegle do Kunickiego.

Wzdłuż dalszego odcinka Kunickiego i przyległych doń uliczek leży wielka dzielnica domków jednorodzinnych zwana Dziesiątą. W urzędowych pismach coraz częściej spotyka się również określanie dawnej Bychawskiej jako Dziesiątej, co jest nieporozumieniem, jako że Bychawska zabudowana jest zwarto, kilkupiętrowymi kamienicami czynszowymi, na ogół pozbawionymi wygód, obliczonymi na proletariackich lokatorów. Natomiast willowa, zielona Dziesiąta zamieszkiwana była głównie przez inteligencję, czy też wysoko kwalifikowanych robotników lub rzemieślników, którzy dorobili się w końcu działki i domu, choć często ciasnego, drewnianego, mniej wygodnego od czynszówki, ale własnego. Dziś różnice socjalne zatarły się zupełnie, natomiast charaktery dzielnic pozostały odrębne i łączenie ich jest niefortunnością, jako że mieszkańcy mają odmienne problemy związane z adresem. Pokolenie przed czterdziestką pamięta zresztą święte wojny na proce Dziesiąta — Bychawską, czy też Dziesiąta — wieś Dziesiąta.

Lublin z lotu ptaka

Fot. J. Polakowski

Dziesiąte były bowiem dwie. Dawny majątek ziemski Dziesiąta, położony na lewym brzegu Czerniejówki, rozparcelowany został po I wojnie światowej. W szczerym polu wytyczono ulice, tereny wzdłuż nich podzielono na parcele budowlane. Gdzieś niedawno minęło 50-lecie dzielnicy, a może też minie w najbliższym czasie. Ze starego majątku pozostały dwa budynki: spichlerz, dziś służący za magazyn, i tzw. „Dom Strzelca". W przekonaniu mieszkańców oba są już zabytkami, zasługują na pewną ochronę i powinny być wykorzystane na cele kulturalne, np. kino i klub dzielnicowy, młodzieżowy dom kultury itp. Ciekawe, że energiczni dziesiątacy, którzy przez te pół wieku tak świetnie zagospodarowali swą dzielnicę (jest tu nawet liceum ogólnokształcące, założone tuż po wojnie), nie mogą się o to dobić.

Na prawym brzegu Czerniejówki leżała wieś Dziesiąta, dość zamożna, ziemia tu niezła, miasto pod nosem. Tutejsze gospodarstwa ulegały coraz to nowym podziałom, tak że dziś Dziesiąta przekształciła się prawie całkowicie w dzielnicę domków jednorodzinnych, upodabniając się do swej młodszej imienniczki z drugiego brzegu rzeki, tyle że bardziej chaotycznie od niej zabudowaną. Część mieszkańców byłej wsi Dziesiąta nadal uprawia niewielkie kawałki gruntów rolnych i trzyma żywy inwentarz, lecz ubywa ich z każdym rokiem.

Na zachód od Dziesiątej, oddzielony od niej polami i tzw. „Obozem Południowym", leży Wrotków. Jeszcze po ostatniej wojnie typowa wieś podmiejska usytuowana nad Bystrzycą, w pobliżu sporego kompleksu leśnego. Dziś przekształca się ona w dzielnicę peryferyjną. Mieszkańcy zarzucają rolnictwo, raczej z konieczności zresztą, bo na polach ich, pomiędzy Wrotkowem i Dziesiątą, od ul. Zemborzyckiej aż w okolice dworca kolejowego, powstaje nowa dzielnica przemysłowa. Właściwie już powstała. Średni przemysł maszynowy, przedsiębiorstwa pracujące na użytek rolnictwa, hurtownie. Stoją nowe hale produkcyjne i biurowce, dymią kominy, wiją się asfaltowe drogi. Jak na przemysł jest to wszystko jeszcze dość czyste, uporządkowane, pewnie dlatego, że nowe. Lecz nie ma się co czarować, ładne to nie jest i nie będzie. Już dawno kominy przestaliśmy uważać za ozdobę krajobrazu, a zaczęli za smutną konieczność. Być może, za 15 czy 20 lat będziemy zachodzili w głowę, dlaczego wepchnęliśmy fabryki we wnętrze miasta, tak jak obecnie pytamy się, dlaczego nie zlokalizowano dalej klinik weterynaryjnych, mimo że one nikomu nie wadzą? Na szczęście przemysł z Zemborzyckiej nie jest uciążliwym sąsiadem, nie hałasuje i nie dymi specjalnie (co dalej, zobaczymy!), toteż równocześnie przy ul. Zemborzyckiej powstaje duże osiedle mieszkaniowe w blokach wielopiętrowych. Obóz południowy (alias „Prochownia"), mocno zadrzewiony, przeznaczony jest dla nowego szpitala kolejowego.

Spoglądam na plan Lublina wydany w roku 1970. Kalinowszczyzna ma na nim szereg ulic, których nie było jeszcze na planie z roku 1964. Kalinowszczyzna, jedna z najbardziej malowniczych dzielnic Lublina, przypominająca do złudzenia małe, kresowe miasteczko, ciasna, brudna, niewygodna, lecz urokliwa. Niewiele z tej staroświeckiej atmosfery zostało. Kalinowszczyznę burzy się systematycznie i powstają nowe, piękne domy. Szkoda jednak, że tamtej starej, przez tyle lat mającej swą odrębną kartę w klimacie kulturowym Lublina („na Kalinie, co zabawa to trup", mawiało się) nie utrwalono przynajmniej bogato na taśmie filmowej i papierze fotograficznym. Patrzę na nowy plan. Gdzie jest ulica Sierakowszczyzna, stara, historyczna, niemal poddzielnica, dawna jurydyka? Nie ma. Dlaczego? Na kolejnym wydaniu planu pewnie nie będzie już i Słomianego Rynku. Któż to tak samowolnie decyduje o niwelacji tradycji miejskich?

Swego czasu, po wielkich awanturach w prasie, powołano komisję do ustalenia nazw nowych ulic. Działała ona okresowo dość owocnie i znów nic o niej nie słychać. Nie ma też dyskusji publicznych (w prasie, na zebraniach), poświęconych temu tematowi. A tymczasem, pomijając już pewne pretensjonalności, jak owe ulice Nasturcjowe, Narcyzowe i Bluszczowe na Ponikwodzie (czy Ponigwodzie, jak chce i pisze część mieszkańców), niewłaściwością jest zaniechanie w dokumentach urzędowych nazw dawnych, doprowadzając z kolei do zamarcia ich w słowie.

Jeśli się chce znać Lublin, topografii miasta trzeba się uczyć stale. Hajdów, Zadębie, Bursaki, Zimne Doły, do niedawna jeszcze były pojęciami niemal zupełnie nie znanymi ogółowi mieszkańców. Dziś coraz częściej przychodzi nam stykać się z nimi. Na Helenowie, przy ulicy Wojciechowskiej, w szczerym polu wyrósł kompleks budynków znanej wytwórni dziewiarsko-galanteryjnej „Lubgal", a potem obiekt spółdzielni „Przełom", mniej rozreklamowanej może, lecz bardzo charakterystycznej dla Lublina, jako że założonej w pierwszych latach po wojnie przez grono pań starszych i w średnim wieku — przeważnie wdów mających na utrzymaniu dzieci. Władze miejskie pomogły, ale w owych czasach pomoc ta nie była wielka. Przełomianki wynajęły II piętro w kamienicy przy ul. Buczka 37, na własnych plecach nosiły na górę maszyny i bele z tekstyliami. Początkowo szyły najprostszą garderobę. Większość z nich nie miała kwalifikacji. Dokształcały się. Obecnie spółdzielnia tak rozwinęła się, że nie tylko wybudowała sobie owże nowy obiekt z szeregiem urządzeń socjalnych, ale także wchłonęła męską spółdzielnię krawiecką, deficytową, zagrożoną w swym bycie (kobiety zawsze lepiej gospodarowały pieniędzmi, aczkolwiek warto podkreślić, że na ogół na czele owej babskiej firmy stał mężczyzna). Dziś „Przełom" eksportuje swe wyroby do kilkunastu krajów europejskich, azjatyckich i afrykańskich. Płaszcze dziecięce produkowane są na zamówienie pewnej wielkiej hurtowni w Paryżu.

W prasie spotykam od czasu do czasu anonsy wycieczek autokarem po Lublinie. Program jest zawsze podobny: Stare Miasto, Krakowskie Przedmieście, Majdanek, FSC i Tatary oraz osiedla LSM. Gdybym był organizatorem, zawiózłbym koniecznie wycieczkę do Jakubowic, do których dotarła już granica miasta, pokazał ruiny pałacu. A także drewniany most i śluzy oraz stary młyn, nie żadne zabytki, lecz nas, mieszkańców unowocześniającego się (inna sprawa, czy dostatecznie szybko) miasta, cofające o jedno, lub dwa pokolenia i już przez to samo odprężające. I pokazałbym wspaniałe wąwozy nad Bystrzycą. A również kazał wszystkim powąchać, jak ona cuchnie, bo prawdopodobnie dopiero uświadomienie sobie w skali szerszej stanu zanieczyszczenia naszej największej rzeki może doprowadzić do parcia opinii publicznej w kierunku poprawy sytuacji.

W ogóle Lublin, który powstał na wzgórzach wśród rozlewisk Bystrzycy, Czerniejówki i Czechówki, jest i obecnie o wiele bardziej oparty o nie, niż to się powszechnie wydaje.

Czechów, jeden z kierunków przyszłej zabudowy wysokiej, leży na wzgórzach nad Czechówką. Rzeczka to mikroskopijna, lecz gdyby ją odpowiednio zagospodarować (np. bulwar spacerowy po obu stronach, od zewnątrz obsadzony wysokim żywopłotem), mogłaby powstać trasa spacerowa, jakże zaciszna wobec biegnącej obok wielkiej arterii komunikacyjnej. Niestety, dzięki czyjemuś niefortunnemu pomysłowi, Czechówka przykrywana jest na głównym odcinku miejskim betonowym płaszczem.

Drugi front zabudowy wysokiej idzie na Rury, w górę Bystrzycy. W nielicznych chwilach wolnych wsiadam czasem w zupełnie przypadkowy autobus, by pojechać na dalekie przedmieście. Podróż na Rury to powrót w krainę dzieciństwa; tak to odczuwam, choć nigdy nie byłem tu jako dziecko. Na prawym brzegu rzeki ogródki, jakieś bagniste zarośla, nie zasypany kawałek starego koryta. Na lewym brzegu domy: trochę nowych jednorodzinnych i strochę starych ruder, także drewnianych. Dalej, wzdłuż rzeki wije się droga, a po drugiej stronie jej urwiste wzgórza, porośnięte krzewami. Na wzgórzach znów rudery i trochę willi. Rzeka tu jest nie uregulowana, kręta, wartka, z poszarpanymi brzegami. Przy starym, drewnianym moście, gdzie niegdyś był młyn, jeszcze stoi olbrzymie, żeliwne młyńskie koło, niemal eksponat z muzeum techniki. Byłoby niezmierną szkodą oddanie tego koła na złom. Niechby zostało tu już nawet na stałe. W tej scenerii można się bawić w Indian, podchody, partyzantów, policjantów i złodziei, w Bóg wie co jeszcze. Żaden najlepiej zorganizowany plac zabaw czy ogródek jordanowski nie da dzieciom takiej możliwości rozwijania własnej fantazji. Nachodzi mnie obawa, że gdy Rurami zawładnie wysokie budownictwo, rzeka zostanie uregulowana, brzegi wyrównane pod sznurek, wzgórza splantowane lub ścięte do geometrycznych kształtów, wijące się ścieżki zastąpione prostymi schodkami... Będzie nowocześnie, porządnie, banalnie.

Lublin jest miastem pięknym i brzydkim zarazem. Starym i nowym. Miastem wieżowców w Alejach PKWN, ciasnych podwórek na Podgrodziu, ruder Kośminka i drobnych gospodarstw Choin. Każdy ma inny obraz miasta: w zależności od adresu, wieku, wspomnień osobistych. Lublin jako całość nie jest dobrze znany mieszkańcom. Nie tworzy się współczesna anegdota i legenda miejska, nie ma literatury na tematy lubelskie, nie ma fotografii, ba, brakuje nawet przewodników. A przecież nie tylko Stare Miasto i Krakowskie Przedmieście mają swój niepowtarzalny urok. W majowe popołudnie rzemiennym dyszlem warto wyruszyć i na obrzeża.

Romuald Wiśniewski

Fot. M. Targoński (CAF)

Kamena str. 5

Dramatyczna walka na Sławinku trzech rot riazańskiego pułku piechoty z Franciszkiem Lisem

Mirosław Derecki

23 KWIETNIA 1907 roku był dla Królestwa Kongresowego dniem niezwykłego napięcia. Ważyły się losy Izby Państwowej. Prezes Izby Gołowin udawał się do Carskiego Sioła na audiencję. Kilka godzin wcześniej Koło Polskie postawiło na plenum Izby Państwowej wniosek o przyznanie Królestwu autonomii. Z godziny na godzinę oczekiwano w „Priwisleńskim Kraju" na telegramy z Petersburga mające przynieść wiadomość o opinii cara.

Tego samego dnia Lublin stał się świadkiem wydarzenia, które kazało mieszkańcom zapomnieć o ważnych dla kraju, rozstrzygających się właśnie w stolicy imperium sprawach. Wieść o owym wydarzeniu rozniosła się zresztą wkrótce po całym Królestwie, wzbudziła szereg sprzecznych opinii i sądów, odbiła się szerokim echem w prasie. Ale nie uprzedzajmy faktów.

August Grychowski, autor książki „Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich", wydanej w Lublinie w 1965 roku, pisze na stronie 150: *Głośna walka na Sławinku pod Lublinem w dniu 22 kwietnia 1907 r., gdy dwie roty żołnierzy wzmocnione przez jedną armatę ostrzeliwały salwami w ciągu kilku godzin byłego bojowca PPS, Stanisława Lisa, ukrytego w kuźni, odbiła się echem w powieści Prusa „Dzieci" (1908). Lis występuje w niej pod nazwiskiem Zająca vel Zajączkowskiego.* Dwa zdania zaledwie, jakże jednak rozpalające ciekawość i wyobraźnię czytelnika! Zarazem, jak wiele w tych dwóch zdaniach błędów. Walka na Sławinku miała miejsce nie 22 ale 23 kwietnia 1907 roku, imię Lisa brzmiało Franciszek a nie Stanisław, co zaś do przynależności organizacyjnej, był on członkiem SDKPiL, a nie PPS.

Mimo upływu niemal siedemdziesięciu lat od czasu owej słynnej bitwy, będącej jednym z ostatnich akordów dogasającej na Lubelszczyźnie rewolucji 1905 roku możemy dzisiaj, dzięki zachowanym dokumentom, prześledzić dość dokładnie bieg wypadków i rozszerzyć dotychczasowe wiadomości o Franciszku Lisie. Tym łatwiej tego dokonać, że pod Lublinem żyje jeszcze dwoje ludzi, będących niegdyś bliskimi współpracownikami Lisa.

*

23 kwietnia 1907 roku około południa doniesiono lubelskiej policji, że w miejscowości Sławinek, odległej o pięć wiorst od Lublina, pokazał się dawno przez policję poszukiwany były dowódca bojówki SDKPiL, Franciszek Lis. Policmajster i zarazem naczelnik straży ziemskiej, kapitan Anatolij Adolfowicz Ulich, wysyła co koń wyskoczy dwie dorożki wypełnione funkcjonariuszami straży ziemskiej, którzy mają ująć Lisa. W jednej z nich sam zajmuje miejsce. Przodem galopuje kilku kozaków.

Lis stanowi dla policji łakomy kąsek. Ten trzydziestoletni rymarz z Kurowa, znany pod pseudonimami „Jakub" lub „Kożuch", przez ostatnie dwa lata wsławił się szeregiem akcji na transporty pocztowe rządowych pieniędzy, na urzędy gminne, na posterunki policji. Działał głównie w okolicach Puław, noszących wówczas nazwę Nowej Aleksandrii, ale dawał o sobie znać także w powiatach lubelskim i lubartowskim. Jest wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy, nosi charakterystyczne, cienkie, opadające ku podbródkowi wąsy, nadające jego twarzy wyraz jakby zatroskania. Ale również przebiegłości. W istocie, przywódcę bojówki złożonej z gotowych na wszystko młodych ludzi cechuje nie tylko szaleńcza odwaga, ale również chytrość i przebiegłość lisa. Dzięki tym cechom charakteru nie raz i nie dwa wywijał się z sieci zastawianych na niego przez policję. Szczególnie w ostatnich czasach, kiedy bojówka poszła w rozsypkę, a policja niemal bez przerwy depłała mu po piętach...

Jest już dobrze po dwunastej, kiedy dorożki z policjantami stoczywszy się warszawskim gościńcem w dolinę Czechówki, zatrzymują się przy mostku na rzece. Właśnie w tym momencie w drzwiach pobliskiego sklepiku żydowskiego ukazuje się nie podejrzewający niczego Lis. Policjanci i kozacy rzucają się ku niemu, ale „Kożuch" jest szybszy: przebiega błyskawicznie do sąsiedniego, oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków od sklepu budynku i zatrzaskuje za sobą ciężkie, drewniane wrota. W ten sposób znajduje się teraz w niełatwej do zdobycia „fortecy". Skrył się bowiem w kuźni — przysadzistym, długim budynku o grubych, kamiennych ścianach, w których z rzadka tylko rozmieszczone są niewielkie okienka.

Po chwili wierzeje uchylają się, z wnętrza wychodzi kowal z rodziną. Staje się jasne, że Lis ma zamiar się bronić, i nie chce narażać mieszkańców kuźni. Zanim jednak zdążył zaryglować drzwi, wdziera się do wnętrza kilku policjantów. Lis dobywa browninga, grzmią wystrzały. Pada zabity na miejscu strażnik Palczuk, na zewnątrz wyczołguje się ranny w nogę policjant Łazarko. Pozostali policjanci i kozacy pierzchają w popłochu. Uchyla się okienko w bocznej ścianie, osaczony wyrzuca przez nie trzyletnie dziecko, o którym rodzina kowala snadź w pośpiechu zapomniała. Następuje chwila spokoju. Policja i kozacy z oddali otaczają kuźnię, zajmują dobrze ukryte stanowiska. Potem wybucha rewolwerowa kanonada, policjanci próbują jeszcze raz wedrzeć się do kuźni. Ale strzały Lisa szybko ostudzają ich zapał. Znów wycofują się na bezpieczną odległość i pilnują tylko, żeby Lis się nie wymknął.

O godzinie pierwszej policmajster Ulich decyduje się wezwać na pomoc wojsko.

Do położonych przy warszawskiej rogatce koszar Świętego Krzyża zostaje wyekspediowany konny posłaniec. W koszarach stacjonuje „69 Riazański pułk piechoty generała feldmarszałka księcia Aleksandra Golicyna". Jego dowódca, podpułkownik Fiodor Grigorijewicz Siergiejenko, natychmiast wysyła w kierunku Sławinka trzy roty wojska oraz niewielki oddziałek saperów, ciągnących za sobą kabel telefonu polowego. Szykuje się cała „operacja wojenna", za chwilę rozpocznie się formalna bitwa.

Wojsko szerokim kręgiem otacza kuźnię. Część żołnierzy zajęła pozycje w rozciągającym się za Czechówką ogrodzie dworskim, z pozostałych dwóch rot jedną ustawiono na wzgórzu wzdłuż szosy, druga rozlokowała się za budynkiem, w którym mieści się ów żydowski sklepik. Na komendę rozlega się siedem salw karabinowych. Setki kul uderzają w ściany kuźni, nie wyrządzając zresztą najmniejszej szkody ani masywnym murom, ani ukrytemu za nimi „Kożuchowi". Po każdej salwie otwiera się okienko i sypią się z niego strzały rewolwerowe. Lis nie oszczędza amunicji, ma jej pod dostatkiem, poza tym widać, że nie da się wziąć żywcem i że życie swoje postanowił sprzedać za wysoką cenę.

O godzinie drugiej po południu policmajster łączy się telefonicznie z dowódcą stacjonującej w Lublinie 18 brygady artylerii, generałem-majorem Andriejem Musseliusem i żąda przysłania... artylerii. Równo w godzinę po tej rozmowie na Sławinek zostaje dostarczone działo szybkostrzelne. Ustawione na górce przy szosie, oddaje osiem strzałów szrapnelami, które wybijają osiem dziur w murze budynku, poważnie nadwerężają jeden z narożników kuźni i niszczą część gontowego poszycia dachu.

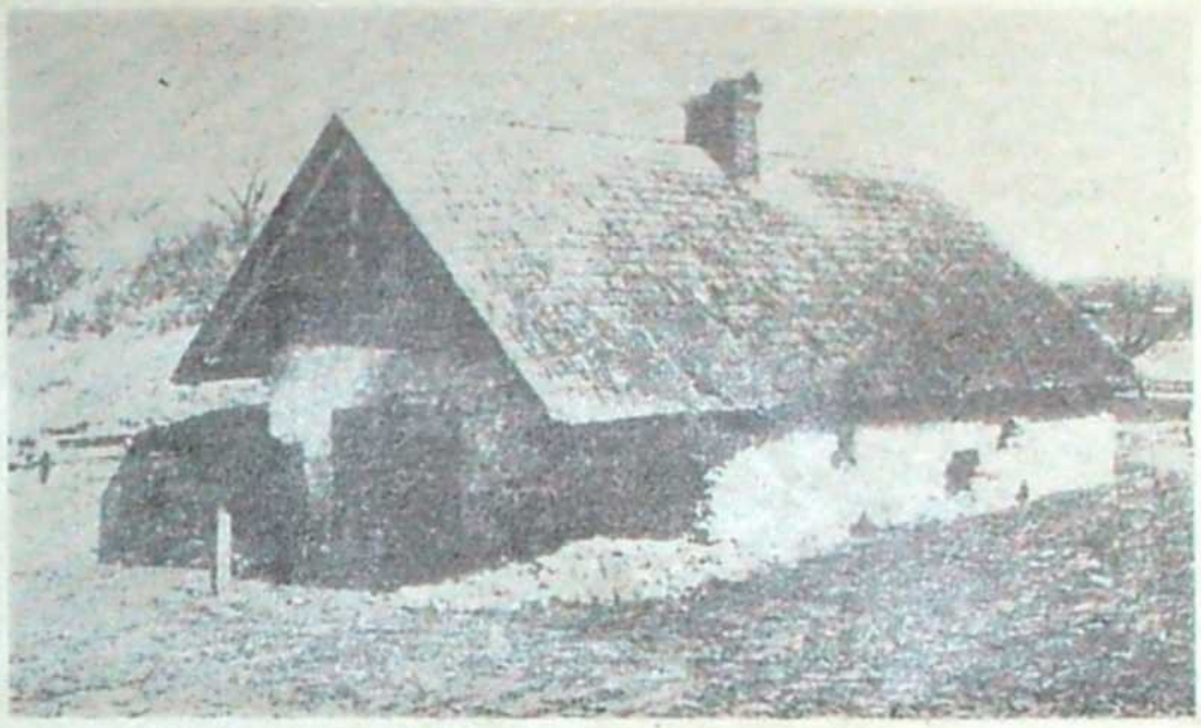

Zbombardowana kuźnia, tuż po akcji na Sławinku

Lis milczy. Może zginął? Może leży ciężko ranny, przywalony gruzami? Rozlega się komenda: „Brać szturmem"! Pierścień żołnierzy riazańskiego pułku zacieśnia się, jest już o kilka metrów od okaleczonego budynku. I wtedy niespodziewanie otwiera się znów okno, w sołdacką masę biją ciężkie, dwunastomilimetrowe pociski. Pierścień zostaje złamany, roty rzucają się do ucieczki, zatrzymując się dopiero przy szosie.

Teraz znowu zaczyna pracować działo, po nim dwie roty wojska oddają na zmianę łącznie osiemnaście salw, zasypując przez wybite szrapnelami otwory wnętrze mieszkania kowala i wnętrze samej kuźni gradem kul. Po każdej salwie w którymś z otworów ukazuje się oczom oblegających nie dbający już teraz o bezpieczeństwo Franciszek Lis, wciąż jednak zawzięcie się odstrzeliwując.

Po osiemnastej salwie — nie pojawił się. Chociaż rozum nakazuje uwierzyć, że po takiej nawale ognia Lis musiał zostać zabity, żołnierze są przekonani, że owo milczenie to kolejny podstęp oblężonego. Kiedy więc następny raz pada komenda: „Brać szturmem", tyraliera skrada się w kierunku ruin z bronią gotową do strzału, jeszcze bardziej powoli i ostrożnie niż poprzednim razem.

U wejścia wala się trup policjanta Palczuka. Poza tym wnętrze kuźni jest puste. Palenisko rozbite do cna, kowadło przewrócone, wielki skórzany miech przy palenisku, postrzelany kulami, zwisa spod sufitu na jednym tylko przyczepie. Wąski otwór w głębi kuźni — były tutaj przedtem drzwi — wiedzie do mieszkania kowala. Tam, na podłodze obok łóżka, leży półprzytomny Lis. W ręku trzyma rewolwer. Kiedy zbliżają się do niego, raz jeszcze usiłuje poderwać się na nogi, strzelać. Ale siły zawodzą go.

Teraz dopiero policmajster Ulich stwierdza ostatecznie — bo dotąd nie miał całkowitej pewności — że człowiek, którego dostał w swoje ręce, to rzeczywiście Franciszek Lis. Podobnie jak w kuźni, wnętrze mieszkania przedstawia obraz całkowitego zniszczenia. Ściany są wprost nafaszerowane kulami. W jednym tylko wiszącym na ścianie oleodruku naliczono 25 otworów.

Lis jest ciężko ranny. Ma przestrzeloną pachwinę, na głowie widnieje wielka rana zadana odłamkiem szrapnela. Przy bliższych oględzinach lekarz odkrywa pod spływającą z głowy krwią jeszcze jedną ranę, na szyi. Powstała od kuli rewolwerowej. Dwukrotnie ranny Lis, czując, że siły go opuszczają, próbował odebrać sobie życie.

Podjeżdża wojskowy ambulans. Sanitariusze wnoszą do wnętrza zabitego Palczuka, jęczącego z bólu Łazarkę i nieprzytomnego Lisa. Akcja skończona. Ambulans rusza powoli do lazaretu w koszarach Świętego Krzyża. Lis przechodzi pod opiekę lekarzy, którzy mają za wszelką cenę utrzymać go przy życiu, wyleczyć. Wtedy zostanie znów przekazany policji w celu złożenia zeznań. Potem czeka go sąd, a wreszcie — kat. Co do tego policmajster nie ma najmniejszych wątpliwości.

Gdyby Lis nie był ranny, mógłby jeszcze długo trzymać w szachu wojsko i policję. Znaleziono przy nim setkę nabojów.

A przecież Franciszek Lis wymknął się z rąk policmajstrowi Ulichowi. Jeszcze tego samego dnia, o godzinie jedenastej wieczorem, zmarł w koszarowym lazarecie nie odzyskawszy przytomności.

W rodzinach ludzi związanych niegdyś z „Kożuchem", do dziś zachowało się przekonanie, że organizacje SDKPiL z powiatu puławskiego planowały odbicie Lisa z lazaretu. Gdy okazało się, że jest zbyt dobrze strzeżony, dopomógł mu umrzeć wojskowy lekarz, Rosjanin, który był związany z partią. Zaś w Lublinie powstała inna legenda: że Lis dniem i nocą miał broń w pogotowiu, nosił bowiem na przegubach rąk obrączki zerwanych kiedyś kajdan, a do każdej z tych obrączek miał przylutowany browning.

Bitwa na Sławinku i nazwisko Lisa stały się głośne w całym Królestwie Kongresowym. Wychodzący w Lublinie dziennik „Ziemia Lubelska" wydał z powodu ujęcia Lisa dodatek nadzwyczajny, ale ogół mieszkańców „Kongresówki" dowiedział się o opisanych tutaj wypadkach głównie za pośrednictwem „Tygodnika Ilustrowanego", który nie tylko wydrukował obszerne sprawozdanie z przebiegu akcji, ale także zamieścił wielki — jak na owe czasy — fotoreportaż, cztery zdjęcia przedstawiające zewnętrzny i wewnętrzny widok kuźni oraz zwłoki jej obrońcy, spoczywające w wojskowej kostnicy.

Sprawa Lisa miała również swój szczególny aspekt polityczny. Oto w tymże samym numerze „Tygodnika Ilustrowanego" z 4 maja 1907 roku zajął m. in. lubelskim wydarzeniem sam Bolesław Prus w Kronice Tygodniowej. Kronika poświęcona była rozważaniom (...) *co może dać, a czego nie da autonomia* (Królestwa — MD) ... *a także: jakie są szanse, że ją kiedyś pozyskamy?".*

Owszem, istnieją realne powody — pisał dalej Prus — *które streścić można w zdaniu, że: rządy biurokratyczne rozpadają się i już nie tylko nie mogą w kraju zaprowadzić ładu, ale nawet zapewnić mieszkańcom bezpieczeństwa.* Przytaczając następnie szereg przykładów bezsilności policji, przekupstwa urzędników, zachwiania powagi władzy w państwie, opisuje Prus dość dokładnie wypadki na Sławinku i kończy ów opis w taki sposób: *Pytam się: jakim sposobem porządek w kraju może utrzymać policja, która dla ujęcia jednego bandyty naraża na podobne nieprzyjemności piechotę i artylerię? (...) Zdaje się, że wystarczy kilka powyższych przykładów, ażeby zilustrować prawdę, że — zarówno biurokratyczny system rządów, jak i jego wykonawców, trzeba powoli zmienić w Królestwie Polskim.* I dalej: *Przy obecnym systemie centralistycznym Wielkorosya poprostu mar-*

Poseł przyjechał

Dokończenie ze str. 1

Brawa. Odnotowuję: zupełna jednomyślność, brak jakichkolwiek, tak ongiś na wsi jaskrawych różnic pokoleniowych, lekceważenia młodych. Więcej — dziś młodzi właśnie częściej zabierają głos. I częściej niż starsi rolnicy spotykają się z powszechnym aplauzem.

Tymczasem, przeczekawszy owację, do głosu Mikosia dodaje jeszcze swój argument M. Sokół z Brończyc, który sprzedał w lutym krowę na obowiązkowe dostawy. *Na III klasę poszła, po 4 złote za kilo. Toż tyle samo w jatce, 4 złote, kosztuje kilo kości. To jak? Za kości mnie tylko zapłacili, niby że cała krowa moja kościana była, czy co?*

Obowiązkowe dostawy, planowy skup — jak Polska długa i szeroka kwitowany przez chłopów lakonicznie a treściwie: „obowiązek". Jaki jest jego sens po 26 latach od zakończenia wojny, jaki sens zwłaszcza teraz, gdy wieś musi podjąć trud intensywnej produkcji mięsa i zbóż? Pytania te, uargumentowane absolutnie logicznie, opatrzone gorącymi komentarzami, padały gęsto z sali w Niedźwiedziu, Przybysławicach i z pozostałych izb, w których przyszło posłowi Machejkowi spotykać się ze swymi wyborcami. *Tak już jest* — powie potem poseł reporterowi — *że ludzie mnie rozgryzają, moją słabość do tego, co publicystyka nazywa problematyką wsi. Wyczuwają mnie, znają. I dlatego — walą szczerze, co myślą. I to, proszę was, zawsze tak było. Po i przed 56, przed i po 70 roku.*

Tym łatwiej przychodzi wyborcom „rozgryzać" posła Machejka, że wielu — jak się okazuje podczas spotkań — regularnie czytuje jego publicystyczne relacje z posłowania, kilku przyznało się do lektury „Potyczek poselskich", powołując się na poruszone w książce kwestie zaopatrzenia, mechanizacji, szkolenia, kultury, produkcji rolnej. Właśnie do publicystycznej działalności posła Machejka nawiązują m. in.: Andrzej Mucha, Wł. Niedziela, St. Kozioł, J. Bugaj, Z. Kućmierz z Witowic, St. Nowak z Przybysławic, Zofia Stolarska, Garmot, Kowalczyk czy Kotnis, którzy bezceremonialnie przypominają autorowi, że już przed dobrymi kilkoma latami piętnował wśród innych problemy wsi miechowskiej, ale bez żadnego istotnego dla tychże problemów uszczerbku — występują one nadal z jednakową siłą, dokuczliwe jednakowo. Na ten przykład nie poprawiło się wcale zaopatrzenie w chleb, węgiel, materiały budowlane, pasze, nasiona. Lista jest długa, bardzo długa.

* * *

W Przybysławicach gromką dyskusję rozpoczął Władysław Niedziela. *Dzisiaj kto z ziemi wyrósł, ucieka od niej, wziąć nie chce ani dokupić, bo się boi, boi się strachu, co się nazywa progresją.*

A St. Kozioł (siedzący z mojej lewej sekretarz propagandy KP poinformował szeptem: *Wieczny malkontent ten Kozioł*) cienkim dyszkantem oznajmił, co *podług jego myśli, to jakoś nie widać, żeby chłopom było lepiej, a przeciwnie, bo węgiel, co go mamy tu na miejscu w Jaworznie, podrożał, zdrożały pasze, cement, materiały budowlane. Chyba, że to, co poseł obiecuje, będzie, a więc podwyżka cen skupu mięsa i mleka, spłaszczona progresja i zniesiony obowiązek: to jakoś wyrówna, bo tak nasza, chłopów, jest strata.*

Kozioł z namaszczeniem zerka do miniaturowego notesika, w którym spisał bolączki, całą ich litanię, punkt po punkcie. Kończy: *Dziś gospodarzyć dobrze, to znaczy gospodarzyć z głową.*

W. Kućmierz z Witowic — jak znów informuje przedstawiciel miechowskiego KP — właściciel „Wartburga", mówi o kwestii wczasów i sanatoriów dla ludności wiejskiej. *Problem nie tylko na tym polega, że trudno się dostać chłopu. Ja tam byłem już i w sanatorium i na wczasach. Ale ile mnie to kosztowało — oprócz tego, co na kwit, oficjalnie — wolę nie mówić. Żeby sanatorium kosztowało 3—4 tysiące, to nikt nie pojedzie, choć będzie dostęp, bo każdy będzie takiego prosza żałował na wyrzucenie. Woli na coś konkretnego przeznaczyć, na jakąś maszynę. I czemu do dziś się o tym w rządzie w ogóle nie mówiło, choć na wsi mówiło się od lat i trzeba było czekać aż na Gierka, żeby zacząć mówić. Idzie o to, żeby na gadaniu się nie skończyło.*

St. Nowak z Przybysławic dodaje, że nikt niczego od państwa nie chce za darmo. Postuluje wprowadzenie składek ubezpieczeniowych i

Kamena str. 6

naje swoje ludzkie zasoby, wytacza ze siebie krew, aby innym narzucać urzędników i za tę cenę kupować ... ogólną niechęć...

Są więc poważne, głębokie przyczyny, które Rosyę muszą doprowadzić do uczciwej i mądrej decentralizacji. A w takim razie złożony przez Koło Polskie projekt autonomii dla Królestwa jest niby wezwaniem do reform, nie tylko potrzebnych dla szczęścia ludów, ale i dla egzystencji państwa.

Stary, poczciwy pozytywista usiłował przy pomocy „bandyty" Lisa rozgrywać z samodzierżcą Wszechrosji dialog na temat swobód Polaków. Nazywał Lisa „bandytą", bo tak go nazywała cała oficjalna prasa: znał sprawę rymarza z Kurowa z gazet a nie z autopsji. Te zaś pisma, które znały przeszłość Lisa, wstrzymywały się od pisania na jego temat. Tak na przykład wychodzący równolegle z „Ziemią Lubelską" miejscowy „Kurier", pismo postępowe, radykalizujące, nie zamieściło najmniejszej wzmianki o walce na Sławinku, podczas gdy „Ziemia" poza dodatkiem nadzwyczajnym, w następnych dniach wydrukowała jeszcze artykuł, pełen najgorszych inwektyw pod adresem Lisa.

Barwna postać Franciszka Lisa znalazła oddźwiek w literaturze. Prus uwiecznił go pod nazwiskiem Zająca w powieści „Dzieci", a w kilkadziesiąt lat później Ewa Szelburg-Zarembina w powieściach: „Ludzie z wosku" i „Miasteczko Aniołów". Lis objawia się tam pod nazwiskiem rymarskiego czeladnika Staśka Jelenia, bojowca PPS, który pod koniec rewolucji staje się bandytą: *Kto zabił jego na duszy, jeszcze zanim on w lasy karpińskie poszedł? Kto go z bojowca bandytą zrobił? Moskale?! — krzyczała teraz Joanna, straszna, purpurowosina. — Swoi! Polacy! Katolicy! Oto Stasiek Jeleń* — pisze w innym miejscu autorka „Miasteczka Aniołów" — *musiał czuć się związany osobistymi węzłami przyjaźni lub choćby ich namiastką w postaci ścisłej, stałej współzależności z ludźmi mianującymi się partią, aby nie nadwerężyła się jego karność. (...) Znany był mu aż nadto jego wpływ wielki na ludzi nawet starszych, bardziej wyrobionych, bardziej odpowiedzialnych. Znana mu była przewaga człowieka zdecydowanego na wszystko nad człowiekiem uzbrojonym, ale mniej pewnym siebie, bo niepewnym swego.*

A po zorganizowaniu nielicznej, lecz własnej „partii" znana stała mu się moc czarodziejska, nieodparty urok zdobywczych pieniędzy. — I sława. Sława tego, któremu służy skrzydlate szczęście.

Czy w trakcie tworzenia postaci Staśka Jelenia sama tylko pisarska fantazja podsunęła autorce pomysł rozbudowania jego życiorysu o ów niechlubny finał poprzedniej, rewolucyjnej działalności, czy też opierała się Szelburg-Zarembina na jakichś znanych jej bliżej faktach z życiowych losów pierwowzoru swego bohatera — Franciszka Lisa?

Z grona ludzi, którzy znali Lisa osobiście, kontaktowali się z nim, współpracowali z tym niezwyczajnym człowiekiem, zostało na świecie już tylko dwoje: mieszkająca w Kurowie, osiemdziesięciopięcioletnia Wiktoria Gembal i dobiegający dziewięćdziesiątki Jan Szczypa z Puław. Ona była czynną działaczką komórki SDKPiL w Końskowoli, on „chodził z Lisem jako członek dowodzonej przez „Kożucha" esdekapefelowskiej bojówki. Ich wspomnienia, połączone przez reportera w jeden ciąg myślowy, ukazują postać Franciszka Lisa w czasach, gdy rewolucja płonęła jeszcze na Lubelszczyźnie pełnym ogniem.

Niedługo przed japońską wojną zmarł w Końskowoli niestary jeszcze miejscowy murarz i szewc w jednej osobie, a zarazem kościelny śpiewak zawołany, Sikora. Pozostawił po sobie niewielki dom przy ulicy Poprzecznej, a w nim żonę i dwie córki. Starsza, Wiktoria, miała wówczas piętnaście lat. Przy domu był kawałek pola, jednak zbyt mały aby mogły się z niego wyżywić trzy kobiety. Wiktoria, w tajemnicy przed matką, stanęła przy warsztacie tkackim w jednej z kilku istniejących wówczas w Końskowoli fabryk sukienniczych. Zarabiała jednego rubla tygodniowo za dwunastogodzinny dzień pracy. Nic dziwnego, że wkrótce dziewczyna znalazła się w szeregach partii walczącej o obalenie ustroju, w którym robotnik sprowadzony był do roli roboczego wołu, stała się członkiem bardzo w Końskowoli prężnej i licznej komórki SDKPiL.

Kiedy wybuchła rewolucja 1905 roku, Końskowola wzięła w niej czynny udział. Czas był jednak niebezpieczny, przez osadę często przebiegały kozackie patrole. Dosadnie obrazuje ówczesną atmosferę korespondencja, zamieszczona w „Czerwonym Sztandarze" z 18 stycznia 1906 r. *Puławy, d. 15 b. m. U nas areszty odbywają się jak nigdy. Naczelnik powiatu zmobilizował sobie rotę żołnierzy i sotnię kozaków i z nimi obławę robi na wioski i miasteczka. Przy aresztowaniu strasznie biją, np. w Końskiej Woli rano o godzinie piątej rota wojska otoczyła całe miasto i wówczas zaczął się areszt. Aresztowanych wywlekano z łóżek i strasznie bito, po tej kaźni krępowano ich i odstawiano do Puław. W Puławach wsadzono ich do koszar tulskiego pułku, do więzienia nie wsadzili ich, bojąc się, żeby ich nie odbito. Takie areszty do tej pory odbywały się w Końskiej Woli, Kurowie, Markuszowie, Miechowie, Rykach i Żelechowie.*

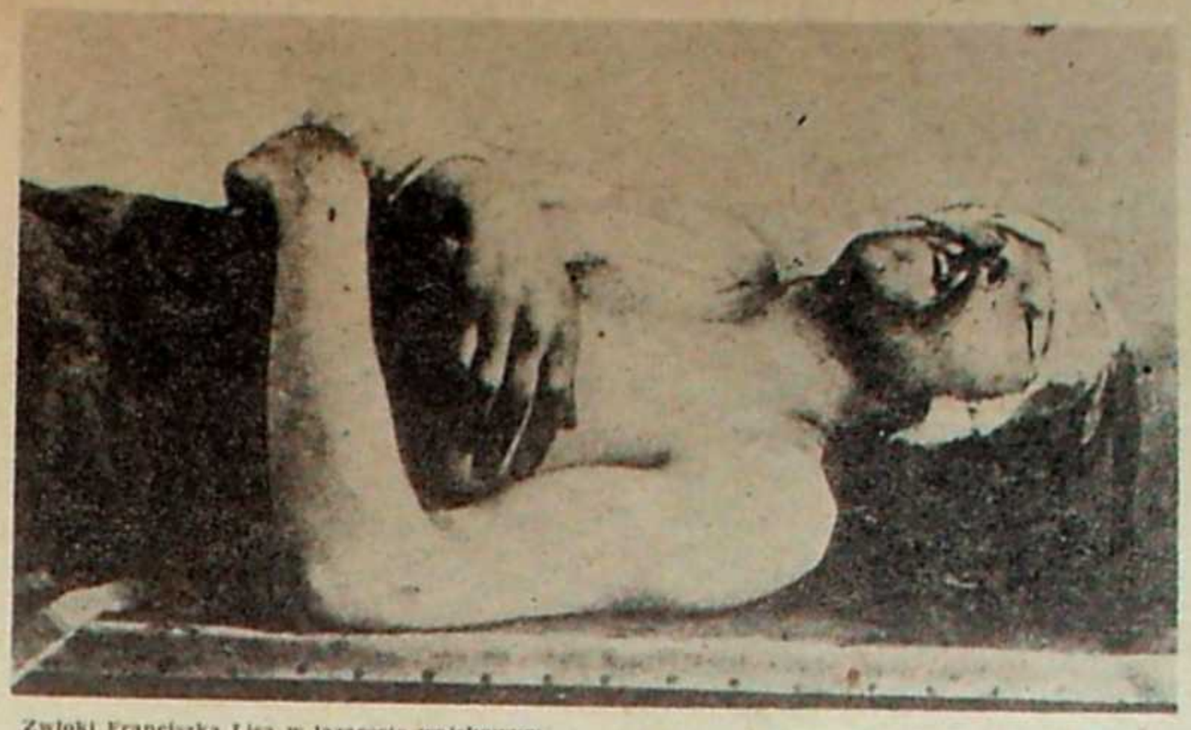

Zwłoki Franciszka Lisa w lazarecie wojskowym

Obydwa zdjęcia reprod. z „Tygodnika Ilustrowanego"

Zebrania partyjne, którym często przewodniczył miejscowy działacz Jan Swiderski, odbywały się zazwyczaj w rodzinnym domu Wiktorii Sikory przy ulicy Poprzecznej. Tutaj, w schowku pod podłogą stojącej na podwórzu szopy, przechowywano ulotki, egzemplarze „Czerwonego Sztandaru" i broń. Miewali tu również spotkania bojowcy SDKPiL ze słynnym w okolicy Franciszkiem Lisem na czele. Lis był postacią tyleż barwną co tajemniczą. Wiedziano o nim tyle, że dawniej pracował jako rymarz w majątku w Kurowie, że odznacza się niezwykłą odwagą i przebiegłością i że podobno podlegają mu wszyscy bojowcy SDKPiL w okolicy. Pojawiał się zwykle nie zapowiedziany i pod różnymi postaciami. Raz jako zamożny chłop, w sukmanie i z batem w dłoni, kiedy indziej w jarmułce na głowie i w chałacie na grzbiecie, innym razem jako „student" w kusym spencerku, to znów w księżej sutannie. Zachodził do mieszkania niby przypadkiem, pytając o drogę lub proponując sprzedaż owsa albo nafty. Wiktoria miała z nim umówione znaki, po których orientował się, czy może bezpiecznie zrzucić maskę, czy ma się wycofać, bo w domu jest ktoś, komu nie można ufać.

Kierowane przez niego akcje przeprowadzane były zawsze w sposób błyskawiczny i zwykle osiągały zamierzony cel. Działał ze swoją bojówką po całej prawie guberni, szczególnie jednak upodobał sobie powiaty puławski, lubartowski i lubelski. W skład bojówki wchodzili: Jan Szczypa, Józef Wolski, Michał Pawłat i Ignacy Świtala z Włostowic, Władysław Chmurzyński z Kurowa oraz Karol Blady z Lublina. Szczególnie głośne stały się ich akcje na urząd gminny w Żyrzynie, na gminę Wielkie i osadę Niemce w powiecie lubartowskim, gdzie zdobyto książeczki paszportowe, oraz po kilkaset rubli, które przekazywane były na potrzeby organizacji. Wreszcie — słynna, opisana w prasie konspiracyjnej akcja na ambulans pocztowy, wiozący znaczną ilość rubli z Puław do Kazimierza. Zasadzka została urządzona między Parchatką a Bochotnicą, w miejscu, gdzie do szosy podchodził zwarty, grabinowy zagajnik. W czasie gęstej wymiany strzałów pomiędzy bojowcami a eskortującymi transport rosyjskimi strażnikami padł... jeden koń. Strażnicy salwowali się ucieczką, zostawiając na drodze kasę z 6 tysiącami rubli.

Jak zwykle, tak i w tym starciu broń bojowców stanowiły rewolwery „systemu Browninga", piekielne machiny o kalibrze 12 mm. Jak zwykle również, zdobyte pieniądze przekazano do Lublina do stolarni Aleksandra Damskiego ps. „Zielony".

Nikt nie wiedział gdzie Lis mieszka, miał prawdopodobnie kilka różnych melin. Najczęściej przed planowaną akcją pojawiał się na wsi Włostowice u Michała Krzemińskiego i stamtąd rozsyłał wici do rozsianych w okolicy członków bojówki. Wyznaczał też zbiórki u Wiktorii Sikory w Końskowoli lub we wsi Barłogi koło Kurowa, w domu Jana Duraka.

Wielbiony przez podwładnych, otoczony narastającą wokół niego legendą, musiał być „Kożuch" równocześnie osobnikiem chimerycznym i niełatwym do prowadzenia przez zwierzchność partyjną, roznosił go temperament. Równocześnie jego życie rodzinne było zrujnowane. Żona, córka rządcy w majątku Abramowice pod Lublinem wraz z kilkuletnim synem Władkiem bez przerwy musiała zmieniać miejsce zamieszkania w obawie przed aresztowaniem. To samo, oczywiście, tylko w znacznie większej mierze, dotyczyło samego Lisa. Małżonkowie widywali się rzadko. Kiedy rewolucja zaczęła wygasać, a zaborcy wzmogli falę terroru, kiedy zaczęto Lisa coraz bardziej osaczać, jego spotkania z rodziną ustały niemal zupełnie. Partia schodziła do podziemia, rwały się kontakty, rosło donosicielstwo, zaczynało brakować pieniędzy na życie. A stanąć na powrót do pracy przy rymarskim warsztacie Lis nie mógł, był wszak człowiekiem nazbyt znanym. Jedna z nielicznych wizyt u żony, która mieszkała wówczas w Kurowie, w domu Władysława Dlupero przy ulicy Kowalskiej, omal nie zakończyła się ujęciem. Niespodziewanie wpadła do osady sotnia kozaków i obstawiła wszystkie drogi wylotowe. Lisa uratował parobek księdza, użyczając mu swego porwanego kożucha, wciskając do ręki bat i oddając „pod opiekę" stado księżowskiego bydła, które „Kożuch" przepędził pod nosem kozaków daleko na łąki i... tyle go widziano.

Poszła w rozsypkę także bojówka, owa grupa młodych, zdecydowanych na wszystko ludzi, wśród których Lis czuł się najlepiej i bez których nie wyobrażał już sobie życia. Jana Szczypę wzięto w sołdaty i popędzono aż pod Kaukaz, w wojsku znalazł się również Świtala. Chmurzyński, skłuty kozackimi pikami, przyczaił się na strychu pod siertą słomy w obawie przed aresztowaniem, wkrótce potem przedarł się przez granicę do Galicji i tam już pozostał na stałe. Krzemińskiemu udało się wyjechać do Ameryki.

Na początku 1907 roku nie było żadnych wiadomości o Lisie. Przez kilka miesięcy nie dawał znaku życia. Co w tym czasie robił, w jakich okolicach się obracał — nie wiadomo. Nagle, 23 kwietnia 1907 roku, przypomniał o sobie strzałami na Sławinku.

Co się zaś tyczy kuźni, to po załataniu dziur po pociskach przetrwała w doskonałym stanie następne pół wieku, dopóki jej ostatecznie z dużym trudem, cegła po cegle, nie rozebrano.

Tadeusz Chróścielewski

Bukowina – Wąwolnica

To wzgórze po horyzont nakryte obłokiem,
Krwawnikami i woskiem, a gładzone wzrokiem
Po horyzont, skąd droga jest i dokąd droga,
Po której drzewny chodzą, bo szukają Boga
(Chodzą tam i z powrotem szlakiem nie
skończonym,

Pozdrawiają się, budzą w kolorze zielonym:
Zieleń w pasy, marszczona aksamitnym
cieniem) –

Przemierzam po horyzont dalekim
wspomnieniem....

Zdarza się, że przechodzą pogłosem po
dzwonach

Tamci o watowanych kanciaście ramionach,
Płaska pani z Matisse'a z grzywką i w
jamperze...

Czasu wcale nie znają, wcale w czas nie
wierzą.

Głaszczą glinę laskami, o obłok się wsparli
Idą wolno. Tak chodzą letnicy i zmarli.

Bukowina 1970

Blisko

Na bukowińską górę –
Opis na fotografii –
Wszedł za mną lekko księżyc –
Księżyc nie z tej parafii.

Anioł Pański zatargał
Sznurem z czerwonej rafii,
Zaszły mi drogę dzwony –
Dzwony nie z tej parafii.

Pytam ciekawy dzwon,
Co krąży nad kamieniem:
– Daleko do mojej parafii?
– Blisko. Już tylko pod cieniem.

1970

Brzostowica

Śni mi się wiatr na okiennicach
I wilk niosący piorun w pysku,
Nieznana wioska Brzostowica
Na uroczysku wilkowyjskim;

I brzostoczepe, czepowłose
Staruszki ostatniego dnia
Skryte za brzostem i za lasem
Wołają ku mnie za sen w snach.

W szyby zaszyte, brzostowłose
Kreślą kotwicy znak gromnicą,
Żebym też schronił się przed lasem
Za brzostowicką okiennicą.

Lecz utraciłem dawno klucz
Do tamtych snów do dnia z niezdarzeń:
Ziarnem metalu w ziemię wrósł,
Gdzie tknął go piorun burzy zdarzeń.

Więc jak się mam przedostać w sen
I wspiąć się tam po mgieł wiązarach?!...
Wszak i nie sen to, lecz snu cień –
Nie cień nawet, lecz sen – wiara.

1970

emerytalnych włączonych do podatku gruntowego. (Przerywają mu oklaski). *Poseł tu powiedział, że źle wychowujemy nasze dzieci i dlatego na starość dzieci nas rzucają na pastwę losu. Gazety o tym piszą co i raz, sami też napatrzym się, jaka dola starego, jak tylko grunt dzieciom odda a do roboty niezdatny. Ale co tu wychowanie czy niewychowanie — nic. Tak było przez wieki i nie da się tego zmienić z dnia na dzień żadnym wychowaniem. Ale jakby taki stary chłop miał emeryturę odłożoną, te 800—1000 złotych na miesiąc, to zięć czy synowa, córka czy syn tańcowaliby koło starego, żeby mu wygodzić. Nie o samo wychowanie, po moim rozumie, idzie, ale o pewne zabezpieczenie starości, żeby ludzka była, bez poniewierki i niczyjej łaski.*

Popierają go liczne głosy. Sypią się przykłady, argumenty. I znów jest mowa o biurokratycznych zahamowaniach, pladze łapownictwa, nieżyciowych przepisach. Obok potrzeb podstawowych, jak maszyny, materiały czy węgiel, zgłaszane są postulaty „wyższego rzędu", acz oczywiście konieczne, jak choćby ten o telefonie w każdej wsi, *bo teraz jak baba rodzi, czy się, nie daj Boże, co stanie, to umrzeć można prędzej nim się do telefonu dojedzie i pogotowie zawoła, dla mnie do telefonu jest 12 kilometrów* (Bugaj z Przysiółka).

Piotr Kotnis zapytuje, dlaczego projekty typowe na byle oborę czy chlew kosztują aż 3—4 tys. zł, albo szkic mostu — 30 tysięcy, podczas gdy most wart jest czasem tylko trzecią część, czasem połowę tej sumy. *Taki most budujem w czynie i służy on całemu społeczeństwu, więc czy jest sens obdzierać tak ludzi? Przecież taki szkic dobry architekt zrobi w parę godzin.*

Kotnis sprawy ujmuje w głębszej perspektywie, kojarzy pozornie odległe fakty: *Pokażcie mi chłopa, który gotówkę wydaje na figle. Nie znajdziecie takiego. A państwo wydaje... no, wydawało. Też nasze pieniądze, nas wszystkich. Taka agronomówka. Jasne, potrzebna, konieczna, bo postęp. Ale milion ma kosztować, równy milion? Ludzie, gdzie kalkulacja? Dajcie mnie ten milion i przydziały, to, jak Boga kocham, trzy takie agronomówki wam postawię i jeszcze mnie coś za fatygę się zostanie. Nie mówiąc, że nasza milion kosztowała, a już dziś się wali.*

Zygmunt Nowak, młody, słynny z pomyślunku na całą okolicę gospodarz, powie potem, że w gruncie rzeczy nic nowego na tym spotkaniu nie było. Te same sprawy chłopi tak samo ostro poruszali na zebraniach rok, pięć, dziesięć lat temu. *Chłopa z pracy za krytykę nikt nie wyrzuci, sam u siebie pracuje. Rzecz w tym, że dawniej nasze głosy gdzieś grzęzły. Owszem, notowali je różni, zapisywali na kartkach i to wszystko. Nie robili żadnego użytku, bo nie wierzę, żeby na tyle głupstwa co się go na wsi nagromadziło, nikt przez lata nie reagował. Przecież chyba na czym jak na czym, ale na produkcji rolnej państwu, wszystkim zależy.*

Po prostu — dodaje Bijak — *jak we wszystkim, tak i w naszych, chłopskich sprawach, brak było informacji. W obie strony. A to źle.*

* * *

Poseł Władysław Machejek jest już zmęczony. Drugie w tym dniu niedzielnym spotkanie. Nie licząc dwu wczorajszych, sobotnich. W czasie swego posłowania — w czterech kolejnych kadencjach — potykał się z wyborcami już 700 razy.

— *Tylko w ramach FJN, nie licząc spotkań doraźnych* — uściśla przedstawiciel okręgu wyborczego.

Poseł zna swoich wyborców i oni go znają. Tak mówią wszyscy i to widać „gołym okiem" — nie owijają w bawełnę, rąbią sobie prawdę w oczy. Udają sobie. Ich obywatelski przywilej. Mój reporterski obowiązek nakazuje zachowanie dystansu, oglądanie rzeczy i ludzi ze światłem i pod światło.

— *Panie pośle, rozumiem społeczne i obywatelskie posłannictwo, rozumiem zwyczajną ludzką uczciwość i rzetelne traktowanie przyjętych zobowiązań, ale obserwując pańskie starcia z ludźmi i inne starcia, te z łamów, czynione w imię tych ludzi, w ich interesie — wyznaję, nie potrafię do końca rozszyfrować, jakie czynniki wchodzą tu jeszcze w grę.*

— *Proste. Tu się urodziłem.*

A więc powrót do swoich, powrót do źródeł. Tu się urodził, na tej ziemi walczył, w powiecie nie opodal w latach czterdziestych był pierwszym sekretarzem. Miał odwagę nim być, czym zjednał sobie swoisty rodzaj szacunku nawet u samego „Ognia". Znający dobrze posła, wysoko w aparacie partyjnym ufasowany towarzysz powie:

— *Dla takich, jak Machejek, walka ma tylko poszczególne fazy, nie ma początku, ani końca jej nie widać. Zgodnie z dialektyką, żeby już być dowcipnym. Ale tak to z Władkiem jest: dla niego kraj — to ludzie. A takie ustawienie już szalenie wszystko komplikuje...*

Inni powiedzą inaczej — że Machejek popularny, bo wiele może. Wiele załatwił i dlatego mir ma taki. W miechowskim czego byś nie tknął, to jakoś z posłem się wiąże. I dodadzą: *nie każdy poseł jest członkiem egzekutywy KW i członkiem KC. Nie każdy wreszcie dysponuje ostrym piórem i łamami „własnego" tygodnika.* Święta, najświętsza prawda. Ale warto by może — tak z reporterskiej przekory — zabawić się w statystykę i policzyć, ilu pisarzy i redaktorów piastuje poselskie mandaty oraz ile napisali o swej parlamentarnej działalności?

Stanisław Harasimiuk

P. S. Już po napisaniu reportażu Biuro Polityczne KC podjęło decyzje, których wartość i znaczenie dla rozwoju polskiej wsi trudno przecenić, a które położą kres większości przeszkód i mankamentów krępujących chłopskie inicjatywy przede wszystkim produkcyjne i społeczne. Na mocy owych postanowień z dniem 1 stycznia 1972 r. rozwiązana zostanie m.in. kwestia obowiązkowych dostaw, jak i progresji, zagospodarowania gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi — a więc sprawy, o których, często w charakterystycznie po chłopsku przejaskrawionym świetle, mówili rolnicy podczas zrelacjonowanych w tekście spotkań z posłem Wł. Machejkiem.

S. H.

Muzeum martyrologii na Zamku

Dla naszej Mateńki od Ireny i Ewy
Lublin, 13.II.44 r.
Zamek, cela 25

Mateńko! Pamiętaj o tym, że nie wolno jest Wam płakać ani rozpaczać. Musisz być silna i znieść to wszystko, aby kiedyś móc powtórzyć co i jak było, innym. My nie wiemy, co będzie z nami, nie mniej idziemy z dumnie podniesioną głową. A Ty kiedyś też będziesz z nas dumna, prawda? Już możesz nią być, nam nie zabraknie odwagi na pewno. Jeszcze raz bardzo proszę Cię, znieś, cokolwiek by się stało, ze spokojem takim, jak my. Chociaż tą drogą całuję Cię bardzo, bardzo mocno, a Ty ucałuj innych, którzy na to zasługują.

Pa Mateńko.
Bądź zdrowa i żyj, bo masz dla kogo
Twoja Irena

• • •

(...) Ucałuj Staruszka, powiedz Mu, że Jemu zawdzięczamy naszą dzisiejszą postawę i godnie przyjmujemy, jak przystało na Jego córki, z których może być do końca życia dumny.
Irena i Ewa

• • •

OTO teksty fotokopii dwóch wzruszających w swojej miłości do rodziców a zarazem pełnych dumy narodowej listów, eksponowane na stałej wystawie „Martyrologia i walka więźniów Zamku lubelskiego w latach 1939—1944". Wystawę otwarto w adaptowanej baszcie Zamku 29 kwietnia staraniem Muzeum Okręgowego, Państwowego Muzeum na Majdanku, Oddziału Miejskiego ZBoWiD oraz Klubu Więźniów Zamku i gestapo lubelskiego.

Irena i Ewa Tomasiakówne, autorki listów były pielęgniarkami w szpitalu w Lubartowie, a zarazem bardzo czynnymi łącznikami Armii Ludowej. Irena miała 24 lata, Ewa zaledwie 19. Wydane zostały w ręce gestapo przez lekarza volksdojcza, pracującego w tym samym szpitalu. W tym wypadku sprawiedliwość szybko dosięgła zdrajcę i donosiciela. Lekarz zginął z wyroku sądu podziemnego, wykonawcą tego wyroku był Ryszard Postowicz ps. Murzyn.

Niestety, nie wszyscy oprawcy i zdrajcy zostali ukarani za swoje zbrodnie, wielu z nich żyje jeszcze w Niemieckiej Republice Federalnej. Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich wciąż zbiera materiały i szuka świadków dotyczących tych zbrodni.

Jedną z najbardziej krwawych katowni hitlerowskich na Lubelszczyźnie, obok obozu na Majdanku i zamojskiej Rotundy, były właśnie więzienia na Zamku z tzw. budynkiem „Pod zegarem" na rogu dzisiejszych ulic Nowotki i Uniwersyteckiej, gdzie w czasie okupacji znajdowała się siedziba lubelskiego gestapo. Przed dwoma laty powstał w Lublinie Klub byłych więźniów Zamku i tego budynku. Klub dzisiaj posiada już ewidencję kilkuset osób, które te kaźnie przeżyły, oraz długą listę ofiar, które tam przypłaciły życiem udział w walce podziemnej. Klub za naszym pośrednictwem zwraca się do wszystkich, którzy byli więźniami w tych katowniach lub posiadają jakiekolwiek wiadomości o takich więźniach, aby zechcieli nawiązać kontakt, pisząc pod adres Zarządu Miejskiego ZBoWiD w Lublinie, ul. Krakowskie Przedmieście 41.

W roku ub. Muzeum Okręgowe oraz Muzeum na Majdanku ogłosiły konkurs na pamiętniki i wspomnienia byłych więźniów Zamku i gestapo. Nadesłano 74 prace, które na 2 tysiącach stron maszynopisów przynoszą wstrząsający materiał dowodowy, a zarazem ujawniają wiele nie znanych dotąd faktów. Jury, któremu przewodniczył doc. dr Zygmunt Mańkowski, ze względu na dużą wartość poznawczą postanowiło zwiększyć liczbę dalszych nagród, nie przyznając pierwszej.

Drugą nagrodę otrzymała Janina Fabierkiewicz-Szyrkowa za pracę „Zaczęło się w Łukowie", której obszerne fragmenty drukujemy równocześnie na str. 4. Dwie trzecie nagrody otrzymali: Konrad Abraszewski z Łodzi i Adam Zachtej z Chełma Lubelskiego, dwie czwarte: Czesław Jaroszewicz i Feliksa Kolaszyńska, a wyróżnienia: Władysław Dobosz, Stefania Łotocka, Scholastyka Maj-Kwiecińska, August Mazurkiewicz, Jan Nowakowski, Maria Pawłowska, Jan Eugeniusz Plewa, Jan Poterański, ks. dr Wacław Staniszewski. Cenniejsze prace zostaną wydane drukiem.

• • •

Gdy po uroczystym otwarciu zwiedzaliśmy wystawę, w celi na drugim piętrze oglądałem właśnie fotokopię jednego z niemieckich dokumentów. Jak głosił napis, była to lista osób rozstrzelanych. Tymczasem stojący obok mnie pan najpierw czytał z wielkim zainteresowaniem ową listę, a potem zwrócił się do mnie z zaskakującą propozycją:

— Panie, niech mnie pan uszczypnie!
— ???

— Widzi pan tu pod pozycją nr 23: Marian Ekielski. To o mnie chodzi. A jeżeli się nie mylę, to przecież żyję.

Istotnie chodzi o tę samą osobę. Jak się jednak okazuje, tego dnia pan Marian Ekielski, być może wskutek jakiegoś niedopatrzenia niemieckiej załogi, został skierowany do pracy i dzięki temu uniknął śmierci.

Serdecznie pogratulowałem mojemu rozmówcy, podobnie zresztą jak i inni zwiedzający. Myślę jednak, że to jeszcze jeden powód więcej, aby nadal zbierać wszelką dokumentację, weryfikować, szukać prawdy, ustalać fakty. Tym właśnie zajmuje się także Klub byłych więźniów Zamku i gestapo lubelskiego.

(jd)

Kamena str. 8

Maestro Lipiński

W 110 rocznicę śmierci

Włodzimierz Jona

W ZŁYM czasie urodził się Karol Lipiński i w złym momencie umarł. Dopiero 26 lat po jego śmierci amerykański elektrotechnik wynalazł gramofon akustyczny, produkowany przez francuską Pathé, dopiero wtedy, w 1887 roku, ten sam Amerykanin, E. Berliner, wykonał pierwszą płytę gramofonową. Jeszcze później upowszechnił się film dźwiękowy i zapis magnetofonowy.

Ars longa, vita brevis. Ale ze sztuką, którą uprawiał Lipiński, niewiele ten aforyzm ma wspólnego, przynajmniej wówczas, w pierwszej połowie ubiegłego wieku, kiedy notacja muzyczna kojarzyła się wyłącznie z zapisem nutowym, nie mogły mieć tę optymistyczne słowa żadnego związku z twórczością wybitnego skrzypka — wirtuoza. Tysiące kilometrów europejskich podróży artystycznych, setki godzin na estradach i w salonach Lwowa, Krakowa, Warszawy, Berlina, Moskwy, Wilna, Petersburga, Lipska, Drezna, Paryża, Londynu, Wiednia, cała ogromna energia twórcza, znacząca ten szlak, zniknęła bez śladu w historycznej próżni, wytworzonej brakiem środków technicznych, utrwalających dźwięki.

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Karola Lipińskiego, przed Chopinem niewątpliwie najbardziej znanego i honorowanego w Europie artysty polskiego, mało kto pamiętał o nim w kraju. *On, któremu nie tylko rodacy, lecz cała w ogóle cywilizowana Europa rzucała kwiaty pod nogi, którego imię powtarzały ze czcią miliony, a talent wirtuozowski entuzjazmował tłumy, jest dziś, już po upływie zaledwie pół wieku, prawie zapomniany. Od zupełnego zapomnienia ratuje go jedynie „Koncert militarny", czasami grywany jeszcze publicznie* — pisał krytyk muzyczny, A. Poliński, na łamach „Kuriera Warszawskiego" z 1911 roku.

W złym czasie, choć w dobrym miejscu urodził się Karol Lipiński, syn uzdolnionego muzycznie chłopa, kształconego zapewne w jednym z klasztorów, następnie zaś pełniącego funkcję nauczyciela muzyki i „dyrektora" kapeli w pałacu Potockich w Radzyniu. Tam właśnie przyszedł na świat 30 października 1790 roku syn Feliksa Lipińskiego, już po kilku latach ujawniając swój nieprzeciętny talent wiolinistyczny; w ósmym roku życia wykonywał koncerty Pleyela i Jarnovicka. Trudno przypuszczać, aby atmosfera magnackiego domu pozostała bez wpływu na sposób myślenia i wyobraźnię Karola, znającego swoje pochodzenie i związane z nim szanse życiowe, który mógł już wówczas wiedzieć, a przynajmniej przeczuwać, że tylko jako wybitny muzyk utrzyma się w warstwie obywateli pierwszej kategorii. Na pewno zaś wiedział o tym jego ojciec. Losy Karola Lipińskiego od początku związane były z muzyką, a tym samym z arystokracją, stanowiącą wtedy jedynego w istocie mecenasa sztuki; o jej względy i poparcie zabiega przez całe życie.

Rozbiory zahamowały rozwój polskiej kultury muzycznej, podcinając korzenie niejednej fortuny magnackiej, co m. in. prowadziło do likwidacji kapel dworskich. Nowi właściciele Radzynia (od 1799 r.), Sapiehowie, nie byli w stanie utrzymywać kapeli kierowanej przez Feliksa Lipińskiego. Na szczęście hrabia Adam Starzeński ze Lwowa zaproponował ojcu Karola prowadzenie orkiestry i kształcenie własnego syna; przy pulpicie I skrzypiec zasiadł Karol Lipiński.

Młody muzyk pracuje nad sobą z przysłowiową chłopską zaciętością, ćwiczy po kilka godzin dziennie, koncertuje w salonach arystokracji, w domach mieszczańskich, komponuje, wzorując się początkowo na klasykach wiedeńskich. Z okazji imienin żony chlebodawcy poświęca jej „Symfonię Es-dur", a „C-dur" — „Hrabiemu Adamowi Starzeńskiemu od jego najpokorniejszego i najbardziej oddanego sługi, Karola Lipińskiego". W roku 1809, w wieku 20 lat, otrzymuje stanowisko koncertmistrza w orkiestrze teatru zarządzanego przez Austriaków. Dwa lata później jest już jej dyrektorem.

Samodzielny materialnie, postanawia założyć rodzinę. Po ślubie z Reginą Garbaczyńską — pamiętnikarze uznali ją, oczywiście, za jedną z najpiękniejszych kobiet Lwowa, choć zachowana fotografia z trudem potwierdza tę opinię — zamyka ją natychmiast w pokoju i biegnie do teatru na próbę. Posiada: nieźle płatne stanowiska, rosnącą sławę, dorodną żonę, z którą nie rozstaje się aż do jej śmierci w 1856 roku.

Ciągle przecież stwierdza braki we własnym przygotowaniu i umiejętnościach muzycznych. Lwów zaś nie obiecuj ich wypełnienia, w stosunku do Wiednia czy Warszawy jest to miasto w końcu prowincjonalne, niezdolne do zaspokojenia potrzeb poznawczych ambitnego dyrektora orkiestry teatralnej. W połowie 1812 roku, w momencie warszawskiej wizyty Napoleona, poprzedzającej wyprawę cesarza na Moskwę, przyjeżdża nad Wisłę, gdzie spotyka się z Kurpińskim, Elsnerem, Bogusławskim, poznaje

Portret Karola Lipińskiego wg. A. Rejchana, Lwowska Galeria Obrazów

Marię Szymanowską (świetną pianistkę i matkę żony Mickiewicza), Lessla i Stefaniego, twórcę „Cudu mniemanego". Bywa w Teatrze Narodowym, zwiedza Szkołę Dramatyczną Bogusławskiego. Biografowie Lipińskiego ani słowem nie wspominają o jego wrażeniach związanych z przygotowywaniem napoleońskiej wyprawy na Rosję. Może w ogóle nie zauważył wojska?

W 1815 roku wyrusza do Wiednia, chcąc poznać i usłyszeć wielkiego skrzypka, który dwa lata wcześniej objął stanowisko dyrektora opery. *Spotkanie ze Spohrem* — zauważa Józef Powrożniak — *miało decydujący wpływ na dalsze losy Karola. O ile dotychczas Lipiński częstokroć wahał się, czy obrać karierę wirtuoza, czy też pozostać skrzypkiem orkiestrowym, kameralistą lub dyrygentem, teraz, po usłyszeniu wyrazów uznania i zachęty, których mu wiedeński mistrz nie szczędził, postanowił rzucić zajęcia w teatrze i zostać koncertującym skrzypkiem.*

Zafascynowany „idealnym wykończeniem każdej frazy" przez Spohra, lwowski dyrektor, interesujący się dotąd również muzyką taneczną, zdaje się, że nie zwrócił najmniejszej uwagi na rozkręcającego się coraz szybciej nad Dunajem walca. Ale po powrocie do domu rzuca pracę w teatrze i mimo kłopotów materialnych dwa lata poświęca na doskonalenie warsztatu muzycznego, zgodnie z zaleceniami wiedeńczyka. W 27 roku życia wyrusza do Włoch — w poszukiwaniu Niccolo Paganiniego, po drodze koncertując na Węgrzech i w Chorwacji. W zanadrzu chowa listy polecające od przedstawicieli lwowskiej arystokracji i od Spohra, które mają mu ułatwić kontakty i organizowanie koncertów na obczyźnie; odpowiedników „Pagartu" wówczas nie było.

W gruncie rzeczy marzył chyba Lipiński o „pojedynku" z Włochem, takim, jaki w 1816 roku w Mediolanie stoczył z Paganinim francuski wirtuoz, Karol Filip Lafont; mocnym echem odbiło się to spotkanie w prasie europejskiej. Twierdzi się, że Lipiński był człowiekiem skromnym i nieśmiałym, w czym pobrzmiewa prowincjonalne przekonanie, że te dwie cechy charakteru są przypisane ludziom „prawdziwie wielkim". Wydaje się jednak, że jeśli Lipiński czegoś nie miał, to właśnie nieśmiałości — trudno wyobrazić sobie bywalca salonów magnackich, później zaś królewskich pałaców, pod postacią skromnego brunecika, przepraszającego wszystkich za swoje istnienie.

Do spotkania z Paganinim doszło w Padwie w 1818 roku. Za „Tygodnikiem Wielkopolskim" z 1873 r. Powrożniak podaje, że *Lipiński dowcipnie uchwycił tu pewne śmieszności wielkiego maestra. Tak na przykład Paganini siedząc przy kasie, sam sprzedawał bilety na swój koncert, po czym zamykał drzwi na klucz, aby ktoś nie wszedł na salę bez opłaty, i dopiero potem wychodził na estradę. W czasie przerwy sprzedawał bilety po zniżonej cenie, gdyż ci, którzy przyszli później, mogli usłyszeć już tylko drugą część koncertu.*

Kilkakrotne spotkania z Paganinim na gruncie towarzyskim, przyprawione wspólnym muzykowaniem, doprowadziły do koncertu obu artystów w sali teatru w Piacenzy 17 kwietnia 1818 roku. Grali na zmianę, *każdy w swojej manierze, a oklaski dla obu tych mistrzów były wielkie.* Drugi wspólny koncert odbył się (prawdopodobnie) 24 maja tego roku, tournée po Włoszech nie doszło jednak do skutku, ponieważ Lipiński spieszył się do Lwowa, gdzie żona spodziewała się rozwiązania. Spotkanie z Paganinim nie zbliżyło polskiego wirtuoza do stylistyki Włocha, pozostał ón wierny raczej Spohrowi.

Dalsza kariera Lipińskiego to koncerty w najpoważniejszych ośrodkach muzycznych Europy — od Petersburga do Paryża i Londynu. Po raz drugi spotkał się bezpośrednio z Paganinim w Warszawie w maju 1829 r., a koncerty obu znakomitości rozkołysały prasę w ostrym sporze: który lepszy? Przyjaźnił się lub znał Klarę i Roberta Schumannów, Ryszarda Wagnera Liszta, Berlioza, oczywiście Chopina.

Mógł przejść do legendy, lecz poszedł w zapomnienie

To prawda, że twórczość kompozytorska Karola Lipińskiego nie prezentuje zbyt wysokiego poziomu. Ale — że przytoczymy opinię muzykologa — *stojąc na pograniczu dwóch epok, zmierzchu wirtuozerstwa dawnego typu i początków zaznaczającego się w sztuce nowego kierunku, w którym muzyka staje się wykładnikiem uczuć i natchnień kompozytora, Lipiński zawarł w swej grze i twórczości wszystkie pierwiastki nurtujące ówczesną sztukę europejską i zabarwił ją własną, narodową, polską indywidualnością. Bez użyźnienia rodzimej gleby jego sztuką trudno by było o taki urodzaj znakomitych skrzypków, których plejadę otwierają w drugiej połowie XIX wieku Henryk Wieniawski, Apolinary Kątski, Izydor Lotto i Stanisław Barcewicz.*

A jednak o Karolu Lipińskim zapomniano już w 50 lat po jego śmierci. Chyba dlatego, że ostatnie 22 lata swego aktywnego życia spędził wraz z rodziną w Dreźnie, gdzie pełnił funkcję koncertmistrza kapeli królewskiej; za wybitne zasługi dla dworu został odznaczony rycerskim orderem księcia Alberta, na siedem lat przed emeryturą i wyjazdem z Drezna do własnego majątku Urłów koło Lwowa, gdzie zmarł 16 grudnia 1861 roku.

Może też dlatego, że w momencie tłumienia powstania listopadowego przyjmuje oficjalny tytuł „Pierwszego Skrzypka Dworu Cesarsko — Królewskiego", a wcześniej niemal przez dwa lata usilnie stara się o przyjęcie przez cara Mikołaja I dedykowanego mu „I Koncertu fis — moll", co kończy się sukcesem także materialnym. Może nie zapomniano Lipińskiemu wahań przed udziałem w koncercie na pomoc emigrantom polskim we Francji, który mógłby być potraktowany przez ambasadę rosyjską w Paryżu jako swoista demonstracja polityczna, co w złym świetle przedstawiłoby postać pierwszego skrzypka „Dworu Cesarsko — Królewskiego". Te wahania oburzyły do głębi Chopina, mającego koncertować razem z Lipińskim, i występ nie doszedł do skutku.

Karol Lipiński przez całe życie skutecznie zabiegał o poparcie arystokracji, nie przebierając w narodowościach, co było korzystne dla rozwoju jego talentu, ale kto wie, czy po śmierci nie obróciło się przeciw wybitnemu artyście. Jeszcze zresztą rok przed śmiercią skrzypka „Tygodnik Ilustrowany" pisał, że *Lipiński potęgą nadzwyczajnego talentu potrafił zdobyć pomiędzy obcymi wyższe stanowisko muzykalne, ale oprócz chluby spowodowanej zaszczytnymi jego na polu muzyki koncertowej powodzeniami żadnej innej korzyści kraj nasz z tego nie odniósł.*

Są przecież dowody na to, że Lipiński zawsze czuł się Polakiem. Po zakończeniu działalności w Dreźnie powrócił do kraju. W Urłowie własnym kosztem uruchomił szkółkę muzyczną dla biednych dzieci. Prawdopodobnie tylko śmierć nie pozwoliła mu na otwarcie stypendium dla młodych, uzdolnionych skrzypków polskich, co jednak zrealizował jego syn, Gustaw; ze stypendium korzystano aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. W Dreźnie utrzymywał bardzo serdeczne kontakty z istniejącą tam kolonią polską. Słusznie też zauważono, że Lipiński przez długi czas żył pod zaborem austriackim, znacznie łagodniejszym od rosyjskiego czy pruskiego, co na innej płaszczyźnie emocjonalnej, dalekiej od wrzenia, stawiało na co dzień sprawę niezależności narodowej i stosunku do zaborcy.

• • •

Przez długi czas zapomniany przez historyków muzyki polskiej, dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym zwrócił uwagę Henryki Flatty, czego rezultatem była pierwsza poważniejsza próba ujęcia monograficznego jego życia i twórczości, opracowana w 1932 r., której tylko pierwsza część została opublikowana. Ta praca stała się podstawą popularnej broszury Józefa W. Reissa, wydanej przez „Czytelnika" w 1951 r. Obie te pozycje posiadały jednak sporo luk i niedokładności, szczególnie w partiach biograficznych.

Aż dziewiętnaście lat upłynęło do chwili ukazania się — jesienią ubiegłego roku — kolejnej pracy o Lipińskim, najobszerniejszej i najbardziej wszechstronnie przedstawiającej postać wybitnego skrzypka. Wydał ją w Polskim Wydawnictwie Muzycznym Józef Powrożniak. Autor „Paganiniego" z 1968 r., kilka lat poświęcił zbieraniu materiałów dotyczących Lipińskiego, jako pierwszy z badaczy docierając do akt kapeli króla saskiego w Dreźnie, wśród których znalazł dokumenty bezpośrednio związane z polskim artystą. W Państwowej Bibliotece w Berlinie przewertował tomy czasopism dziewiętnastowiecznych, które sporo miejsca poświęcały drezdeńskiej, nie tylko zresztą tej, działalności skrzypka. Maszynopis pracy o młodym Lipińskim, autorstwa Włodzimierza Grigorjewa, docenta Konserwatorium Muzycznego w Moskwie, udostępniony Powrożniakowi, stał się dodatkowym źródłem informacji dla polskiego muzykologa. „Karol Lipiński" Józefa Powrożniaka ma wszelkie cechy rzetelnej pracy historycznej, z pełnym więc przekonaniem wypada zachęcić czytelnika do zapoznania się z tą barwnie napisaną książką.

Ukazanie się sygnalizowanej monografii o kilka miesięcy wyprzedziło uroczystości 110 rocznicy śmierci Karola Lipińskiego, obchodzone w rodzinnej miejscowości artysty, w Radzyniu Podlaskim, którego władza, powiatowa i miejska, towarzystwo regionalne oraz lokalny oddział Towarzystwa Muzycznego im. H. Wieniawskiego w Lublinie zrobiły wszystko, aby impreza wypadła okazale i sensownie. Chciałoby się przy tej okazji zaproponować, żeby jedna z bezimiennych dotąd szkół muzycznych Lublina przyjęła imię K. Lipińskiego. To także miałoby swoje uzasadnienie.

Marian Kawałko

Ars poetica

przywołać łąk symfonie zielne
(gdy ciszy wieko noc rozewrze
a świerszcze wezwą na wieczerzę)
w pejzażu września w
w mgieł popiele

wedrzeć się w skiby tłustej okruch
świtu lemieszem w rosach chłodnym
gdy grusz powszednich korowody
uśpią ostatnie ptaki mroku

rzeźbieniem potu w skwarze dojrzeć
jak dzień z pochodem słońca
w zachód
ulec wieczornych malw zapachom
gdy zmierzch horyzont już przeorze

zrozumieć kłosów w dłoni kontur
i konające w wichrach drzewa
ogni pod płytą psalmy gniewne
sady gdy roje pszczół je tropią

aż w którymś nowiu zejść tajemnie
w gorzkawej gliny chłodną odźwierz
i od kłamanych kirów ostrzec
ciosany w drewnie kształt milczenia

Rejowiec

Józef Lewiński

* * *

Poeta
to ogrodnik który uszczęśliwia świat gałęziami
powołując niewytłumaczalne
osobne i suwerenne drzewo
powołując niewytłumaczalne
przerywa nieporozumienie

Krytyk
jest właścicielem uprawy roślin
na poletku
które obejmuje okular mikroskopu
surowo i precyzyjnie klasyfikuje je
po porządku

On
on jeden
pracuje w skończonej sumie swego ogrodu
własnych rozkoszy
i powołuje co sezon nowe jakości
„obywatela"
„estety"
„serafity"
etc

I przez ścisłe obręcze jego okularów
nie przeskoczą
płonący wszechświat i prawda

Warszawa

Piotr Müldner-Nieckowski

* * *

Idziemy z chłopem
szukać ziela
a ja mu pigułę pięści
pod nos podtykam:
chcę byśmy
na pieńku ze sobą usiedli
do gadki przy śledziu
i kubasku zdroju

Jak tam —
grube ryby biorą
za tym waszym
morzem czerwonym?
— pyta
cybuch ssie
w zeschnięty liść się zwija

Przewracam się
kompletnie pijany
Z ogniska
tryskają błędniki

Warszawa

Opowiadanie z dreszczykiem

Polowanie

Kazimierz Rosiński

W TAKIEJ mieścinie wśród niezmierzonych lasów ludzie ze świata trzymają się, rzecz jasna, razem. Zorganizowało się niewielkie, lecz doborowe towarzystwo. Byłem młody, nieżonaty, zajmowałem wysokie stanowisko, więc miałem szczególną pozycję w tym towarzystwie.

Miejscowy doktor, dobry mój przyjaciel, był wytrawnym myśliwym. Mówił: wszystkie ludzkie profesje można sprowadzić do dwóch, ja jestem raczej myśliwym niż rolnikiem, więc idę drogą Abla — tak powiadał, chociaż wiadomo, że Abel hodował zwierzętą, a nie uganiał się za nimi po wzgórzach. Wokół miasta zalegały świetne tereny łowieckie. Przez całe sezony doktor penetrował je niestrudzenie. Namawiał i innych, lecz ci rozpaśli się zasiedziałym życiem i nie znajdował towarzyszy, dopóki ja nie przyjechałem do tego miasta. Po pewnym czasie dołączył do nas sędzia.

Doktor nie tylko nauczył nas polować i oprowadził po najlepszych terenach, lecz również opiekował się nami troskliwie. Pod koniec pierwszego wspólnego sezonu znaliśmy już rozległe okolice wokół miasta, mieliśmy moc trofeów i nabraliśmy myśliwskiej chętki na zawsze. Wiele pięknych dni spędziłem, brodząc po moczarach i nadsłuchując łownych ptaków, czy też na ugorach, płosząc kuropatwy, wypatrując zajęcy, szarych niczym stercząca kępa jesiennej trawy, lub zdążając tropem zwierzęcia, którego serca tknęła śmierć. Czułem przeznaczenie, co jak mój myśliwy węszyło za mną na wilgotnym wietrze i niestrudzenie przedzierało się przez zarośla.

Minął sezon. Nastały długie dni kanikuły, gry w karty w wiśniowych sadach, wieczory z damami przy fortepianach, konne przejażdżki, pijaństwa, praca — przesłuchiwania chłopów, Żydów, właścicieli ziemskich i drobnych przemysłowców. Byłem komendantem policji. Do moich obowiązków należało ściganie przestępców. Ilekroć moi żandarmi przyprowadzili zbrodniarza, uważnie mu się przypatrywałem. Miałem nadzieję, że znajdę w nim choćby jeden rys prawdziwego myśliwego. Ale to była zwierzyna. Zarośnięci, wynędzniali, wydobyci z ukrycia, gdzie przesiedzieli wiele dni, czasem tygodni, aż dziw, że tacy przemocą chcieli potwierdzić swą przewagę. Od zniechęcenia i nudy uciekałem do moich towarzyszy. Gadaliśmy o przeszłych polowaniach i o tych, które nadejdą.

Zbliżał się następny sezon. Na początek zaplanowaliśmy wyprawę w odległe strony. Ustaliliśmy termin. Doktor zamówił w dalekiej leśniczówce kwatery na kilka dni. Jesień tamtego roku była chłodna. Gwałtowne przymrozki w ciągu kilku dni strąciły liście z drzew. Wysokie niebo miało siną barwę i tylko nieliczne obłoki trwały nieruchomo nad horyzontem.

W dzień wyjazdu o świcie doktor przyszedł do mnie ze smutną wieścią. Zachorowała jego teściowa. Musiał przełożyć wyjazd przynajmniej o jeden dzień. A tam na stacyjce kolejowej będzie czekał leśniczy. Ten człowiek przywykł do tego, że dotrzymuje się wszelkich zobowiązań. Nie wolno nad szarpnąć jego zaufania. Prosił więc mnie doktor, by jechać bez niego, on zaś dołączy do nas tak szybko, jak to będzie możliwe. Udałem się do sędziego i przedstawiłem, jak się sprawy mają. Zdecydowaliśmy się jechać.

Konduktor umieścił nas w najlepszym przedziale, nie znaczy to jednak, by podróżowało się nam wygodnie. Pociąg zdążał ku tym krańcom państwa, gdzie cywilizacja i prawo zapuściły wątłe korzenie podobne układowi strumieni na skrajach pustyni. Podróżni składali się z chłopów i Żydów, krzykliwego tłumu w baranicach i chałatach. Nie dla wszystkich starczało miejsc na ławkach, układali się więc na podłodze. Mówili bełkocącą gwarą. Zrazu zerkali w naszą stronę niepewnie, potem prawie nas nie dostrzegali. Mimo że wszystko należało do nich, zachowywaliśmy się swobodnie. Zaczynał się ten wielki kraj, przez który pociąg przejeżdża całymi tygodniami, zanim natrafi na miasteczko choćby tak mizerne jak nasze. Za oknami ciągnęła się wielka puszcza, gdzieniegdzie przerywana ugorami, na których stały chatynki witane przez ludzi wokół nas dziwnymi i groźnymi nazwami, a my paliliśmy tytoń i z uporem rozmawialiśmy o naszych sprawach. Wy tego nie zrozumiecie, podróżujecie samolotami, nie potrzebujecie się ani bać, ani wykazywać odwagą, czy to lepiej dla was, czy gorzej?

Na przystankach widzieliśmy znużonych żołnierzy. Tu już wszystkie funkcje państwowe objęło wojsko i wojsko obsługiwało linię kolejową. Nawet nasz konduktor przywdział żołnierski szynel, przy czym wiele stracił na wyglądzie i jakoś oklapł, nie golił się i nie mył. Każdego ranka wyznawcy jakiejś sekty witali przytłumionym śpiewem wschód słońca. Ledwie rozróżnialna melodia wznosiła się, to znów opadała, jak korowód starców przechodzących po wzgórzach. Żydzi w tym czasie kulili się po kątach.

Konduktor przestał się z nami ceregielić. Wpychał baby do naszego przedziału. Zaduch i wrzask panował tak wielki, że nie było mowy o śnie czy pogawędce. Na szczęście wkrótce mieliśmy wysiadać.

Stacyjka była niewielka, kościółek z czarnych desek, kilka lepianek, błotnisty podjazd pod karczmę. Ogarnął nas tłum Żydów i chłopów, ta nieskoordynowana plątanina interesów, nie ujęta żadną regułą. Niepodobieństwem było tam znaleźć owego człowieka, który miał nas dowieść na miejsce. Zaczepiliśmy człowieka w szynelu, prawdopodobnie zdegenerowanego żołnierza obsługującego kolej. Poprosiliśmy go o pomoc, lecz on przyjrzał się nam uważnie i odszedł bez słowa.

— Tu gdzieś w pobliżu jest posterunek żandarmerii. Jestem ich przełożonym — powiedziałem.

— W pobliżu? To może znaczyć kilka dni jazdy pociągiem.

Sędzia miał rację.

Przedarliśmy się przez tłum i zatrzymali w mniej zatłoczonym rogu targowiska. Cała ta przygoda wydawała się nam, a przynajmniej mnie, groteskowa.

— Czegoś podobnego nie da się wyimaginować — powiedział sędzia. — Zdaje się, że kolega doktor wpakował nas w nielichą kabałę.

Wydało mi się to zabawne. Wybuchnąłem śmiechem. Sędzia zrazu przyglądał mi się z uniesionymi brwiami, wreszcie i on nie wytrzymał. Zanosiliśmy się od śmiechu, gdy podszedł do nas wysoki mężczyzna w wojskowym szynelu.

— Panowie na polowanie? — spytał. — Szukam panów od kilku godzin. Dalej pojedziemy bryczką.

Zdziwiło mnie, że nie pytał o doktora, który był przecież jego przyjacielem. Wyjaśniłem, dlaczego go nie ma i przeprosiłem w jego imieniu. Leśniczy wysłuchał bez słowa. Poprowadził nas do bryczki, ulokował na tylnym siedzeniu i podał koce, żeby owinąć nimi nogi, bo wieczory są już chłodne — powiedział. Było południe, więc z tej uwagi wywnioskowałem, że czeka nas długa podróż.

Minęliśmy kilka lepianek składających się na przykolejową osadę i wjechaliśmy w las. Szmer kół wprawił nas w senność. Ocknąłem się tknięty chłodem. Czerwone słońce przedzierało się przez gałęzie. Niezmordowany koń biegł równym kłusem. Odmieniony snem miałem dziwne wrażenie, jakby nasze miasto, a nawet kolej, były urojeniem, rzeczywiste zostały tylko bezlistne drzewa. Sędzia również nie spał. Z twarzą ukrytą w sobolowym kołnierzu zapatrzył się w nieruchome plecy leśniczego. W takiej chwili dobrze jest opowiadać sobie jakieś dykteryjki, albo przynajmniej zapalić, a my milczeliśmy.

Zapadł zmierzch. Wreszcie zrobiło się zupełnie ciemno. Koń ani razu się nie potknął, biegł ciągle tym samym równym kłusem, jak mechanizm zegara. Po raz pierwszy, odkąd wyruszyliśmy, leśniczy odezwał się do nas:

— O tej porze roku drapieżne zwierzęta unikają ludzi. — Chyba podejrzewał, że obawiamy się wilków.

Pojazd zatrzymał się. Jakieś wielkie psy szarpały się na łańcuchach, obroże dławiły im gardła, dochodziło nas tylko nienawistne charczenie. Pojawiła się kobieta z latarnią. Wtedy zobaczyliśmy, że znajdujemy się na rozległym dziedzińcu otoczonym nieprawdopodobnie wysokimi drzewami, blask latarni docierał do gałęzi tak odległych, jak chmury.

Leśniczy poprowadził nas ku schodom i weszliśmy do domu. Na środku izby znajdował się stół zastawiony na trzy osoby. Nad stołem wisiała lampa, lecz światło jej mdławe słabsze było od blasku kominka. Zasiedliśmy do stołu i wypiliśmy na rozgrzewkę. Po chwili wróciła kobieta. Podała nam bigos. Sędzia spytał, jaką zwierzynę można tu spotkać.

— Puszcza jest pełna wszelakiej zwierzyny nie znającej prawideł polowania. Zwierzęta mogą być zaskoczone — powiedział leśniczy.

— O, my ich nauczymy moresu. Z tej lufy — sędzia wskazał na stojącą w rogu izby strzelbę — kula nie wypada na próżno.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Nawet leśniczy i jego żona uśmiechnęli się bezgłośnie. Po kilku kolejkach sędzia, który miał ładny głos, zaśpiewał naszą myśliwską piosenkę. Zrobiło się wesoło. Popisywaliśmy się dowcipami. W tym czasie wszedł młody człowiek. Usiadł przy kominku. Zdjął buty i stopy oparł na murku, by ogrzać je przy ogniu.

— To mój syn — powiedział leśniczy.

Przyjrzeliśmy się mu dokładnie. Miał chudą twarz i bardzo długie włosy. Dłonie jego podłużne, o bardzo smukłych, zmysłowych palcach, uciskały kolana. Wydało mi się, że znam tę twarz, lecz mogło to być złudzenie, tak częste u ludzi mojej profesji.

Powróciliśmy do rozmowy. Opowiadałem o naszej podróży. Jak się okazało, i ten koszmar można było opowiedzieć dowcipnie. Leśniczy i jego żona przybliżyli się do mnie, słuchali z wielką uwagą.

— Kiedyś często podróżowałem koleją — powiedział leśniczy. — Gdy byłem szeregowym żołnierzem, brałem udział w ubezpieczaniu eszelonów. Całe dnie jechaliśmy na stopniach, uwieszeni wokół wagonów, z bronią gotową do strzału.

Sędzia, ciągle jeszcze zapatrzony w chłopca grzejącego się w płomieniu paleniska, spytał niespodziewanie, czy ten chłopiec służył już w wojsku. Zdało mi się, że kobietę podrażniło to pytanie.

— Nie, on nie był w wojsku — powiedziała stanowczo.

Ale i to nie zdołało zadowolić sędziego. Z uporem wpatrywał się w postać przy ogniu. Długie włosy opadające po bokach twarzy leciutko falowały od podmuchów ciepła. I mnie również intrygowała ta postać. Wspomniałem, że twarz wydawała mi się jakby znajoma, być może tylko jakiś szczegół; zbyt wielu ludziom przypatrywałem się zbyt uważnie, by móc przypomnieć sobie okoliczności, z jakimi mi się kojarzyła ta właśnie twarz.

Piliśmy i jedli obficie. W pewnej chwili sędzia przeprosił nas i wyszedł na dziedziniec. Ciągnąłem jakąś opowieść dotąd, aż zdałem sobie sprawę z tego, że od dłuższego czasu tylko ja mówię. Zapanowała cisza. Wsłuchiwałem się w potężny szum drzew nad domem. Gospodyni siedziała w mrocznym kącie izby, gospodarz przypatrywał się swoim dłoniom ułożonym na obrusie, a chłopiec ciągle bez ruchu trwał zapatrzony w płomienie. Musiało już być daleko po północy. Niewątpliwie nadużyliśmy gościnności tych ludzi, przyrzekłem więc sobie, że gdy tylko wróci sędzia, podziękujemy za kolację i udamy się na spoczynek. Może dlatego, że czekałem, czas dłużył mi się niezmiernie. Gdy tylko stanie w drzwiach — myślałem — podniosę się i powiem: strasznie zasiedzieliśmy się, lecz kolacja była tak wspaniała, że zapomnieliśmy o zmęczeniu podróżą, dziękujemy pięknie, czas spać. W ten sposób uprzedzę sędziego, postawię przed jedynym rozwiązaniem. Ale sędzia nie wracał. Cisza przedłużała się nieprzyjemnie.

— Wychodzi na to, że sędzia się przejadł — zażartowałem. Nikt jednak nie podchwycił dowcipu. Atmosfera stawała się ciężka nie do zniesienia. Ukradkiem spojrzałem na zegarek. Wyznaczyłem sobie dziesięć minut czekania, tak jakbym usilnym pragnieniem potrafił go tu ściągnąć. Kilkakrotnie sięgałem do zegarka, zanim nadeszła wyznaczona pora. Minęło dziesięć minut, zaniepokoiłem się nie na żarty.

— Czyżby coś mu się stało?

— Nie sądzę, wyglądał na zupełnie zdrowego, być może spaceruje.

No tak. Być może odbywa spacer. Potężny szum drzew wprawia w wyjątkowy nastrój. Ale, do diabła, winien oprzytomnieć. Niepodobna przecież czekać na niego do świtu. Jeszcze raz zerknąłem na zegarek. Przyrzekłem sobie, że za kwadrans wyjdę, poszukam go i przyprowadzę do domu.

— Spacer! Rzeczywiście odpowiednia pora. Na to będziemy mieli czas przez cały następny tydzień.

Kwadrans to jednak kawał czasu. Żeby przerwać fatalną ciszę, spytałem, jakie tu są zwyczaje myśliwskie.

— U nas poluje się bardzo rzadko — powiedział leśniczy. — Zwierzyna prawie nie lęka się ludzi, a to dlatego, że nie używamy broni palnej, raczej zakładamy potrzaski.

— To okrutne — powiedziałem.

Młody człowiek spojrzał na mnie.

— Tak, okrutne — potwierdził, zaś jego matka dodała:

— On nie musi używać podstępów. Biega tak szybko i tak niestrudzenie, że dopada zagonione na śmierć sarny.

— Czyżby?

— Niech pan przyjrzy się jego długim nogom.

Na tej rozmowie zeszły nam dwa kwadranse. Postanowiłem nie zwlekać dłużej. Powiedziałem, że idę go odszukać.

Gdy znalazłem się w sieni, coś mnie tknęło. Mimo zmęczenia i lekkiego odurzenia alkoholem, wspomnienie ostatniej rozmowy niepokoiło mnie. Wydobyłem myśliwski nóż zza pasa.

Wyszedłem na ganek. Wtedy jakieś olbrzymie cielsko runęło mi na pierś. Instynktownie osłoniłem gardło lewym ramieniem. Zęby psa zacisnęły się na ręce. Prawe ramię wcisnąłem między mój brzuch, a brzuch zwierzęcia. Napór był tak silny, że nie miałem wyboru, wbiłem ostrze w dolną część brzucha i ciągnąłem ku górze. Wsparte na mnie cielsko sztywniało. Mimo potężnego szumu drzew słyszałem stłumiony skowyt, raczej z wściekłości na bezsilność, niż z lęku przed śmiercią. Ostrze zatrzymało się na żebrach. Chyba tylne łapy zwiotczały, bo tułów odchylił się do tyłu. Uzyskałem miejsce potrzebne na to, by poderżnąć mu gardło. Wtedy bydle osunęło się na schody, ale zęby ciągle zaciskały się na mojej ręce. Był tak ciężki, że pociągnął mnie za sobą. Leżąc na ciepłych i wilgotnych wnętrznościach, po omacku nożem podważyłem jego szczęki.

Poczułem oddech drugiego psa. Wymachując na oślep nożem, wycofałem się do sieni. Udało mi się zamknąć drzwi, zanim dosięgły mnie jego zęby. Teraz już wiedziałem, jaki los spotkał sędziego. Zrazu opanowała mnie wściekłość, lecz już po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że i mnie czeka nie lepsza przyszłość. Byłem w potrzasku. Nie było wyjścia. Pozostawało mi tylko zachować się godnie.

Wszedłem do izby. Oni wydawali się wcale nie zdziwieni moim powrotem. Siedzieli na tych samych miejscach. Jedynie nasze strzelby zniknęły. Byłem poplamiony krwią, ale nikt z nich nie zwracał na to uwagi. Przez moment myślałem o walce, zanim uświadomiłem sobie, że nie mam szans — młody człowiek trzymał w ręku pogrzebacz, rozbijał nim zwęglone polana. Schowałem więc nóż do pochwy.

— No cóż — powiedziała kobieta — pora na spoczynek.

Zdjęła lampę znad stołu i udała się do przyległej izby. Bez słowa poszedłem za nią. Pokoik, a raczej alkowa bez okien była bardzo biała. Na łóżku nieskazitelnej białości pościel, oprócz łóżka białe krzesło i równie biała nocna szafka. Tylko maleńki krucyfiks nad drzwiami był z czarnego drzewa.

— Zostawię panu lampę — powiedziała. — Może czegoś jeszcze pan potrzebuje?

— Nie.

Zostałem sam w zupełnej ciszy. Mury musiały być bardzo grube, bo nie dochodził mnie żaden szmer.

Nareszcie role!

Maria Bechczyc-Rudnicka

KIEDYŻ to ja czytałam „Emancypantki" po raz ostatni? No tak, pół stulecia temu — nie należały do mych najukochańszych lektur przy całym moim szacunku dla dzieł Bolesława Prusa. Wolałam powracać do „Lalki". A więc gdy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystawił opracowanie dramaturgiczne zatytułowane „Pani Latter", wypadło mi przewertować jego źródło, aby odświeżyć to i owo w pamięci.

Ze zwykłej ludzkiej ciekawości — broń Boże nie z pedanterii, boć strasznie dawno już (chyba ze trzy — cztery lata temu!) zrobiono odkrycie, że adaptacje filmowe czy teatralne wielkich powieści nigdy nie przekazują pełni ich zawartości treściowej. Staliśmy się zresztą dzisiaj w tej materii minimalistami, wystarczy nam, jeśli ocaleje główna myśl klasyka, oswojono nas przecie w teatrach z powiedzonkiem „przeciwko autorowi", a skrót *wg* figuruje na afiszu nieomal przy każdej sztuce klasycznej.

Sprawę pani Latter przedstawiono na lubelskiej scenie w opracowaniu Adama Hanuszkiewicza, dokonanym, jak wiadomo, przed paru laty dla warszawskiego Teatru Powszechnego. Jest to na pewno szczęśliwy pomysł repertuarowy. Pozycja nobliwa, przydatna dla szkół, ukształtowana nowocześnie, a nie odstraszająca masowego widza ekstrawagancjami.

Nie wiem, czy moja impresja nie rozgniewałaby znakomitego inscenizatora i reżysera, ale trudno mi oprzeć się wrażeniu, iż bywa on w praktyce nie do tego już stopnia „obrazoburczy", jak by to można było wywnioskować z jego wypowiedzi teoretycznych formułowanych podczas polemiki, choćby w „Dialogu" (v. numer marcowy br.).

Tak czy inaczej, w konkretnym przypadku adaptacji dramaturgicznej I tomu „Emancypantek" mogę powtórzyć z niezachwianym przekonaniem to, co powiedziałam przy okazji „Kordiana": Nie ma zdrady.

Przerzucając kartki Prusowej powieści odnajdziecie zasadnicze dialogi, które słyszeliśmy z ust postaci zaprezentowanych na scenie przez Adama Hanuszkiewicza. Ależ, oczywiście, coś niecoś się dopisało, potrzebna przecie była tkanka łączna. Tylko że — i to trzeba odnotować ze szczególnym uznaniem — cokolwiek by tu trafiło spoza oryginału, jest to zawsze nacechowane dobrym smakiem, szacunkiem dla wielkiego pisarza, autentyzmem stylowym.

Hanuszkiewicz wpadł na pierwszorzędny koncept wprowadzając do spektaklu postać... Pana Bolesława. Nie wyobrażam sobie łącznika, który by lepiej zestawiał poszczególne ogniwa wyjęte z powieści. Kapitalny pomysł! A więc żaden Narrator na proscenium, nie zaciemnienia, nie kawałki muzyczne, lecz sam autor, postać wśród postaci, rozumiejący więcej od nich, ogromnie przyjacielski (rzeką Francuzi: Tout comprendre c'est tout pardonner!), dopowiadający ich losy...

Sprzyja to bez wątpienia pogodnej aurze widowiska. Odpadły różne elementy, które mogłyby zatrącać melodramatem. Otrzymaliśmy wyborną komedię, niepozbawioną tu i ówdzie farsowej pikanterii. Roztańczony i rozśpiewany korowód dziewczątek w mundurkach przywiódł mi na pamięć „Biedne owieczki", oglądane w niegdysiejszych czasach. Z bliskiego gatunku jest również wprowadzona przez Hanuszkiewicza scena porad poetyckich, których zasięga u Pana Bolesława tata-kamienicznik wraz z dryblasem-synkiem (koncertowo grają w tej scenie Włodzimierz Wiszniewski i Jerzy Smoliński).

Wracając do kwestii „wierności", docenić trzeba fakt, że Pan Bolesław przemawia po większej części autentycznym językiem „Kronik" czy też zaczerpniętym z narracyjnych partii „Emancypantek", a może niekiedy — nie ręczę za to — językiem Dębickiego, powieściowego alter ego Prusa. Nie pamiętam, czy słyszałam ze sceny taką np. definicję:

...każdy człowiek składa się z dwóch części, jak nas uczył katechizm. Jedna jest bardzo skomplikowanym automatem, nad którym można litować się, pogardzać nim, czasem podziwiać... Druga — jest iskrą Bożą, która pali się jaśniej lub słabiej, lecz w każdym człowieku warta jest więcej aniżeli cały świat...

Niech pani teraz doda, że obie części są ściśle połączone, że zatem człowiek jako całość wywołuje w nas jednocześnie pogardę i najgłębszy szacunek, a zrozumie pani, co z tych uczuć może wyniknąć.

...Sympatia tam, gdzie góruje duch, a obojętność — gdzie przeważa automat. Nienawiści w żadnym razie nie można mieć do człowieka...

Czy dokładnie te słowa padły w czasie spektaklu, czy też trochę inne, taka jest właśnie postawa Pana Bolesława (tj. Prusa) w stosunku do wszystkich otaczających go osób — powtarzam: pełna wyrozumiałości. Dlatego też żadna z nich nie budzi w nas antypatii.

Zresztą kontaminacja, jaką zastosował Hanuszkiewicz opracowując swoją rzecz sceniczną, ma w ogóle na względzie utrzymanie widza w nastroju pogodnym i to podejście do opracowania scenicznego wydaje mi się bardzo słuszne, gdyż dydaktyzm „Emancypantek" dzisiaj już się w dużej mierze zdezaktualizował.

„Panią Latter" można uważać za ewenement w lubelskim życiu teatralnym, bo o dobry spektakl komediowy nie jest łatwo, a taki właśnie uzyskała scena im. J. Osterwy dzięki adaptacji dramaturgicznej i reżyserii Adama Hanuszkiewicza oraz pieczołowitej, dzień w dzień, współpracy reżyserskiej Wojciecha Zeidlera — z aktorami.

Na pewno dużym zyskiem dla samych aktorów, zwłaszcza młodych, była sposobność zagrania prawdziwych ról — po nieco dłużącej się przerwie. Tej sposobności nie dawała im ani inscenizacja „Kto ty jesteś", ani tym bardziej „Przenikanie". Chwycili tedy, co się zowie, okazję „za włosy" i zagrali wszyscy z werwą.

Pierwsze miejsce w omówieniu należy się z tytułu i urzędu przełożonej pensji, w której postać wcieliła się Maria Karchowska. Obdarzona świetnymi warunkami scenicznymi artystka trafnie zrównoważyła energię Pani Latter, jej autorytatywną postawę wśród wychowanek i wychowawców — z wręcz naganną bezradnością wobec własnych dzieci. Karchowska nasila umiejętnie w końcowych scenach akcenty dramatyczne w stopniu nie kolidującym z koncepcją komediową inscenizacji.

Uznanie ex aequo należy się Krystynowi Wójcikowi i Aleksandrowi Aleksemu. Pierwszy z nich gra Pana Bolesława zgodnie z sylwetką nakreśloną przez Hanuszkiewicza, taktownie wykorzystując atrakcyjne dla widza momenty, kiedy inne postacie stawiają swego twórcę w kłopotliwej sytuacji (scena zatargu Pani Latter z Arnoldem). Aleksy zaś, w roli podstarzałego szlagona, Mielnickiego, kończy pod długo nie milknące brawa zarówno scenę zalotów do pięknej przełożonej, jak indagacje proletariusza studenta, zakochanego w siostrzenicy Mielnickiego.

Z kolei ów student, Kotowski, w interpretacji Zbigniewa Sztejmana, zasila wydajnie spektakl komizmem, gdy aktor stawi czoło atakom szlagona czy Panny Howard.

A właśnie — Panna Klara Howard! Tę superemancypantkę zdano na łaskę utalentowanej aktorki, Zyty Połomskiej. Nakreśliła ostrymi rysami postać zdecydowanie groteskową, której zewnętrzny kontur, kontrastujący z jej wypowiedziami, niekiedy słusznymi z dzisiejszego punktu widzenia, mógłby dezorientować w kwestii stosunku Prusa do emancypacji kobiet... Owszem, mógłby, gdybyśmy nie dostrzegli w powieści takiego np. rozważania tegoż wspomnianego wyżej Dębickiego:

...wszyscy ludzie powinni mieć rozum, serce, energię, tylko — nie za dużo rozumu, nie za dużo serca, nie za wiele energii... Bo co innego jest ustępowanie wszystkiemu i wszystkim, a co innego — narzucanie swojej osobistości...

A więc chodzi o umiar. Powiedzenie wprawdzie dotyczy Pani Latter, lecz może być rozciągnięte i na Pannę Howard, i na większość współczesnych Prusowi emancypantek w ogóle.

Kontynuując przegląd postaci, odnotujmy, iż Roman Kruczkowski wykorzystał zręcznie szanse dane mu w mniej rozbudowanej — z konieczności — roli niefortunnego męża Pani Latter, Arnolda, uzyskującego sukcesy życiowe dopiero po wyzwoleniu się spod jej deprymujących dyrektyw. Dobrym słowem wspomnieć trzeba Edwina Petrykata, grającego młodego letkiewicza, Kazimierza. Brawko również dla Urszuli Rydzewskiej, której egoistka Helena jest, rzecz by można, debiutem w epizodzie z większym tekstem.

Trochę zaskakuje Wacław Solski (Henryk Sobiechart) — wyobrażaliśmy go sobie znacznie mniej przystojnego, za to bardziej wygadanego. Cóż — znowu konieczność kazała zrezygnować z rozbudowania postaci.

Ewa Wolf, jako nierozważna Panna Joanna, z racją była pastelowa, nie dając w ten sposób powodu do snucia dodatkowego wątku romansowego, postać Madzi (Justyna Moszczeńska) również słusznie została ograniczona do funkcji pomocniczej w ustawieniu sprawy Pani Latter. Penajonarki (Elżbieta Jagielska, Danuta Borowiecka ze statystkami) stanowią wdzięczne tło, na którym wyraźnie uwydatniła się zabawna postać zadurzonej w Kazimierzu Zosi Wentzel (Barbara Koziarska). Udatne też są postacie epizodyczne: Panny Malinowskiej (Maria Szczechówna), Korkowiczowej (Maria Kaczkowska), gospodyni pensji, Marty (Stefania Cybulska), służącej Ludwiki (Jadwiga Janczewska), służącego Stanisława (Witold Lisowski).

Melodie Janusza Kępskiego z tekstami wokalnymi Kazimierza Szemiotha przyczyniają się do powodzenia spektaklu, jako też scenografia Xymeny Zaniewskiej — wnętrze przyjemnie stylizowane na bombonierkę tudzież prześliczne kostiumy pań.

„Pani Latter" wg „Emancypantek" Bolesława Prusa. Maria Karchowska (Pani Latter) i Zyta Połomska (Panna Howard).

Fot. W. Parys

Stanisław Grochowiak: „Chłopcy". Bolesław Orski — Kalmita, Janina Utrata — Narcyza Kalmitowa.

Fot. Fr. Myszkowski

Chłopcy

LEKTURA tekstu „Chłopców", dosyć już znanego dramatu Grochowiaka, nieuchronnie przywołuje wizję zdegradowanej, infantylnej męskości, ponoszącej klęskę w starciu z witalną a okrutną kobiecością. „Rzecz dzieje się w Domu Starców, w małym miasteczku" — powiada autor. Tam to właśnie staruszkowie, mimo sędziwego wieku chłopięco niedojrzali, wyprawiają rozmaite psikusy swoim opiekunkom. „Durna męska duma!... Wieczni chłopcy, nieśmiertelne pieszczochy, słodkie dranie, którym wszystko wolno, którym trzeba wybaczać, wybaczać" — stwierdza przedstawicielka płci nadobnej i rzekomo słabej.

Utwór jest na tyle ogołocony z realiów ukonkretniających miejsce i czas akcji, iż sprawa cała uogólnia się jako konflikt psychologiczny i obyczajowy, charakterystyczny nie tylko dla polskich układów, lecz również chyba dla całej XX-wiecznej cywilizacji przemysłowej. Literacko modny to i płodny ostatnio konflikt, żeby przpomnieć choćby film Wajdy „Polowanie na muchy".

Wszak owo męsko-damskie starcie, w którym sprawiedliwości nie byłbym skłonny oddać żadnej ze stron, to nie jedyna, aczkolwiek ewidentna, możliwość odczytania „Chłopców". Nie na darmo Grochowiak jest zwolennikiem „dramatu, w którym wyobraźnia, szerokość wizji, najdalej posunięty kreacjonizm powściągany być musi przez żelazną dyscyplinę i ekonomię słowa". Omawiany utwór stanowi zwartą całość literacką, jednoczącą wszak w sobie pokaźną wiązkę znaczeń, które inscenizacja teatralna może ożywić.

„Chłopców" wystawił ostatnio Państwowy Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach (premiera — 3 kwietnia 1971 roku). Jest to z pewnością spektakl, który będzie zaliczony do osiągnięć artystycznych tego teatru, aczkolwiek nie sądzę, żeby to był spektakl nadmiernie kasowy. Przedstawienie stanowi rezultat połączonych wysiłków lubelskich i kieleckich ludzi teatru. Reżyserował je bowiem Edmund Pietryk, od przyszłego sezonu zaangażowany zresztą do Kielc. Scenografię zaś opracował Jerzy Torończyk — była to ostatnia realizacja scenograficzna w życiu tego twórcy. Zespół aktorski — z Kielc, pod kierownictwem artystycznym Zdzisława Grywałda.

Nie rezygnując z ogólnego konfliktu słabej męskości pożeranej przez witalną kobiecość, twórcy przedstawienia postanowili rzecz całą ukonkretnić i zarazem nadać jej znaczenie wykraczające poza psychologiczno - obyczajową sprawę dwu płci w naszych smutnych czasach. Z miejsca trzeba powiedzieć, że dramat Grochowiaka daje możliwość i takiego odczytania, jakie zaprezentował teatr kielecki.

Wprawdzie — jak powiedziałem — w tekście „Chłopców" niewiele znajdujemy ukonkretniających realiów, lecz gdyby dobrze poszukać... Należę do generacji, która pamięta czasy, kiedy polska wódka czysta zwykła sprzedawana była w litrowych butlach à 100 zł. Takie to Grochowiak wprowadza „realium". I ten litr pojawia się na stole w kieleckim przedstawieniu. Zjawiają się też — to już pomysł scenografa — plakaty: m. in. nasz „Orbis" zachwala naszą krainę wobec turystów rodzimych, rublowych i dewizowych. To właśnie symbolika ukonkretniająca.

Jeśli więc historia o sympatycznym gówniażerstwie, chłopięcości zarazem niemal tragicznej, to niech to będzie sprawa chłopięcości Polaków, niech będzie skrót dziejów losu polskiego. W tych miejscach, gdzie ten los upupiony bywał. Taka jest wymowa kieleckiego przedstawienia. Gorzkie to rozliczenie, ale przy takiej koncepcji sztuki zaczynają grać wszelkie niuanse tekstu poety, grać wielostronnie: „Napisałem rzecz pozornie nieuczciwą. Tego jednak wymagała strategia — wiedza, o której nie macie zielonego pojęcia" — powiada przedstawiciel „radykalnej inteligencji". Tego rodzaju kwestii kluczowych można znaleźć w „Chłopcach" więcej. I dobrze się stało, iż reżyser nie poszedł na przykrawanie tekstu dla potrzeb teatru czy swojej koncepcji. Jest to teatr wierny Grochowiakowi, a w każdym razie jednej z możliwości odczytania tej sztuki.

Spośród zespołu aktorskiego nikogo nie wyróżniam. Pod tym względem było to przedstawienie równe — na dobrym poziomie. Wystąpili: Bolesław Orski — Kalmita, Stanisław Kamiński — Jan Nepomucen Pożarski, Włodzimierz Miklasiński — Jo-Jo, Jerzy Peters — Smarkul, Edmund Karasiński — Profesor, Janina Utrata — Narcyza Kalmitowa, Ludwika Śniadecka — Hrabina de Profundis, Hanna Zielińska — Siostra Przełożona, Janusza Skubiejska — Siostra Maria.

Dodam tylko, iż przed aktorami nie stanęło zadanie łatwe, był to bowiem teatr oparty w głównej mierze na tekście, zawierającym często bardzo już subtelne aluzje. Nie każdy aktor mógł się więc wygrać, gdyby szło o gest sceniczny, ekspresję ciała.

M. P.

Kamena str. 10

Listy do KAMENY

„Między cnotą a naiwnością"

W 8 (467) numerze „Kameny" z pierwszej połowy kwietnia br. ukazał się artykuł Macieja Podgórskiego pt. „Między cnotą a naiwnością" traktujący o teatrze działającym przy puławskich Zakładach Azotowych. Pozostawiając kierownictwu „Kameny" ocenę trafności przemyśleń autora, pragnę zwrócić uwagę na rażący brak orientacji w poruszanych w publikacji zagadnieniach.

M. Podgórski pisze: „Reklama teatru w środowisku jest żadna. Nie wiem czyja wina. Idą informacje przez radiofonię zakładową, lecz — bądźmy poważni — kto tego słucha? Gazeta zakładowa ogranicza się natomiast do zdawkowych recenzji ze spektakli."

Gwoli ścisłości wyjaśnię, że każdego dnia programu nadawanego przez zakładową rozgłośnię słucha około 3 tys. osób. Że słucha rzeczywiście, świadczy 19 do 20 telefonów, które odbiera redakcja po każdym programie.

Nie będę — jako ich autor — ustosunkowywał się do nazywania publikowanych na łamach gazety zakładowej recenzji — „zdawkowymi". Sami aktorzy — tak mi powiedzieli — uważają, że zawarte w nich uwagi znacznie pomagają im w pracy. Stąd też mógłbym mieć żal do M. Podgórskiego o zamieszczenie w swoim artykule nieprawdziwych informacji. Jednakże nie dam się ponieść emocjom. Powiem — bądźmy poważni — kto czyta M. Podgórskiego?

Z poważaniem
Waldemar Ostrowski
Puławy

Kto czyta M. Podgórskiego? Chociażby... Waldemar Ostrowski.

M. Podgórski

Bliżej Hubala

W SERII „Miniatur" Wydawnictwa Lubelskiego ukazała się nowa pozycja. Jest nią „Tropem majora Hubala" Mirosława Dereckiego *), który — jak sam we wstępie komunikuje — spędził półtora roku na wędrówkach po Ziemi Kieleckiej celem uchwycenia ostatnich odgłosów hubalowskiej epopei. Prześledził też drukowaną dokumentację przedmiotu, tak więc od strony informacyjnej publikacja przekonuje rzetelnym przygotowaniem.

Ale czy tylko informacyjna jej warstwa zasługuje na uwagę? Byłoby zubożeniem tej niewielkiej rozmiarami, bo pocket — book, gdybyśmy ją uznali jedynie za przyczynek do faktografii po trudzie dociekań przynoszący wiadomość odnośnie tego, w jakiej stodole zaspał, a w jakiej wsi dołączył do oddziału podchorąży „Bem", bądź jakiej rasy konia prowadził łuzem (i jaka szarża?) Butrym. Derecki stara się kuriozalny ewenement drugiej wojny światowej, jakim była (regularna?) walka majora Henryka Dobrzańskiego, przedstawić w sposób plastyczny, nie spłaszczony do danych tyleż bezsprzecznych, co nie tworzących obrazu. Angażując fakty i refleksje na płaszczyźnie psychologii, sytuacji militarnej końcowego okresu Września, atmosfery moralno-politycznej środowisk cywilnych, stosunków panujących w obrębie zaczynającego się organizować antyhitlerowskiego podziemia itp.

Oczywiście przy takim założeniu otwiera się obszar zagadnień związanych w ogóle z „romansem historycznym". I powód do rozterki dla czytelnika. Sam bowiem nie jest pewien swego życzenia. Co by chciał otrzymać? Diariusz wydarzeń od 1 września 1939 r. do 30 kwietnia 1940 r.? Powieść o Kmicicu pierwszej połowy dwudziestego wieku? Ani jedno, bo zostanie na uboczu cały szaleńczo-heroiczny wymiar ostatniego pełonezu polskiej kawalerii, ani drugie, bo stąd tylko o krok od literatury typu „history-fiction". A i jakież niebezpieczeństwo ujęcia pośredniego! Popatrzmy:

Niektórzy Niemcy podeszli już na dwieście metrów, a może nawet na sto pięćdziesiąt. Dzięcioły przerwały pracę i lecą właśnie nad zagajnikiem stukając co chwila skrzydłami i opadając ku ziemi, by za chwilę wysilonym trzepotem odrobić utraconą wysokość. Śmignął między konie zając z wysoko podniesionymi uszami.

To Wańkowicz w „Hubalczykach". Opis literacko świetny. Nawet w czytaniu pomaga „wejść" w sytuację. Ale czy te dzięcioły i zające naprawdę były zauważone przez żołnierzy na moment przed walką na śmierć i życie, a przede wszystkim w tym właśnie miejscu, w tym właśnie zagajniku pozostały utrwalone przez kliszę pamięci? Tego rodzaju ujęcie to rocznik historyczny podszyty Żukrowskim. I jakkolwiek nie ma w tym literackiego zarzutu, a nawet wprost przeciwnie, zalety stylu są tu ewidentne, to przy spojrzeniu na „Hubalczyków" jak na dokument — a ostatecznie to spojrzenie jest zasadnicze, bo autentycznych ludzi i autentycznych wypadków dotyczy — poza tym Polak chce mieć wiarygodne świadectwo o polskim wydarzeniu, które już weszło w legendę — z uzasadnionych względów rodzi się pewna nieufność. Nie Wańkowicza ona obciąża: w ogóle romans historyczny.

Tak więc autor lubelski, w swym temacie odchodząc od niewystarczalności samego dokumentu, a starając się o pełny plastyczny obraz, nie obraca kierunku na literaturę. W jego realizacji „trop" zawarty w tytule prowadzi nie tyle do ustalenia szlaku marszruty hubalowskiego oddziału, co do motywacji psychologicznych, do uzasadnień sytuacyjnych, do w ogóle odpowiedzi na pytanie „jak to było możliwe"? — przy pełnym zachowaniu wierności autentyków. I jest jedną z zasadniczych zalet książki Dereckiego, aczkolwiek nie narysowana grubą kreską, to jednak wyraźna linia podziału między przekazem historycznym a hipotezą. Owa ambiwalencja ujęcia, umożliwiająca orientację odnośnie tego, co jest stwierdzone, co jest prawdopodobne, a co wymaga uzupełnienia już tylko autorską czy czytelniczą refleksją.

Właśnie. Kim był, czym się powodował Henryk Feliks Józef Dobrzański — Hubal herbu „Leliwa", wnuk powstańca, praprawnuk adiutanta króla Stanisława Poniatowskiego? Kim i czym — od nocy z 23 na 24 września 1939 roku, kiedy w Janowie Łomżyńskim objął dowództwo pułku, do 30 kwietnia 1940 roku, kiedy poniósł śmierć w anielińskim lasku? Interesuje ten okres, ponieważ wtedy nie tylko decydował o sobie, ale ważył na losach innych. Więc czym — bohaterstwem? Temu stanowi ducha zwykliśmy przypisywać przecież i racjonalne przesłanki, a prowadzić walkę z najeźdźcą bezpośrednio na przedłużeniu kampanii wrześniowej (w której nb. Hubal udziału nie brał) nie miało żadnej perspektywy. Żadnej perspektywy — w tej postaci i w tych okolicznościach. Szaleńcem? Szaleństwo na wojnie nie przekracza rozmiarów jednej szarży, nie może trwać bez przerwy osiem miesięcy. Oficerem kompensującym urazy ambicji doznanej za czasów pokoju? Grę o powodzenie garnizonowe mógł łatwo rozstrzygnąć na swoją korzyść, a na odwrót — zawsze zachowywał się jak wtedy, kiedy odrzucił zaproszenie do loży pani prezydentowej Mościckiej. Pędziwiatrem? Watażką? Kmicicem? Przecież całkiem nie po kmicicowsku zachowywał się w Gałkach Krzezonowskich 13 marca 1940 roku, kiedy przybył podpułkownik Okulicki z rozkazem rozwiązania oddziału. Poza tym nie „ja", lecz „mundur" był tu na pierwszym miejscu. I tak dalej. Trudna jest decyzja wyboru, bo kusząca w każdą stronę. Autor „Tropu" prześledza wszystkie z tych możliwości i właściwie z każdej po trosze czerpie do palety przy portrecie swego bohatera.

Na dobrą jednak sprawę ta wielość i niemal swoboda interpretacji dziwić może wobec faktu pozostawania przy życiu kilku spośród uczestników hubalowską szablą pisanej chanson de geste. Ostatecznie — źródło bezpośredniej informacji znajduje się w naszym zasięgu, skąd więc ta dająca się wyczuć mgiełka niejasności zawisająca nad relacjami o wydarzeniu jednym z najdynamiczniejszych w historii ostatniej wojny? A może to tylko czytelnicza niecierpliwość żądą więcej od tego, co może dać historia? Trudno odpowiedzieć. W każdym razie autorowi należą się wyrazy uznania, za to, że dając relację, nie zostawił niedosytu miałkiej faktografii, a opatrując rzecz komentarzem, czy niekiedy domysłem, nie zaprowadził na manowce niesprawdzalnej i subiektywnej fantazji.

Natomiast Rzeszowskim Zakładom Graficznym — szczególne gratulacje za znalezienie się w stylu: książka w ich wykonaniu posiada wszelkie cechy drukarstwa prowadzonego w warunkach przyfrontowych i partyzanckich.

Zygmunt Mikulski

*) **Mirosław Derecki: „Tropem majora Hubala", Wydawnictwo Lubelskie, 1971, str. 143, cena 8 zł.**

Krzyżówka nr 11

POZIOMO:

1. książka sprzed 1501 roku, 5. malarz polski, znany z pięknych obrazów koni, 8. w ciągu 7 lat zatrzymywała Odyseusza, 9. powód kary, 11. dzielnica Wielkiej Warszawy, 12. miasto portowe nad Atlantykiem w Portugalii, 13. snują nić żywota, 15. pojęcia, koncepcje, 16. szlachetny metal, 17. autor „Myśli nieuczesanych" 19. pisarz polski, autor „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego", 21. syn i mieciel Agamemnona, 23. organizator w sporcie zawodowym, 26. poetka polska, autorka „Pana Balcera w Brazylii", 30. turecki dowódca 31. odwalony pługiem kawał ziemi, 34. dawne środki do cucenia zemdlonych, 36. taniec ukraiński. 38. krew w stanie stałym, 39. trop, 40. biblijny bratobójca, 41. z nich powstają rośliny, 42. uszkodzenie maszyny 43. poeta-wieszcz.

PIONOWO:

1. w niektórych wierzeniach tajemnicza siła zamknięta w jakimś przedmiocie, 2. rzecz bardzo rzadka, 3. poeta polski, najwybitniejszy przedstawiciel liryki rewolucyjnej, 4. społeczni sędziowie, 5. kajak eskimoski, 6. niesympatyczny człowiek w podeszłym wieku, 7. grzejnik c.o., 8A. rodzaj sieci, 18. uroczyste wezwania, 13. ziemia uprawna, 14. patrol sprawdzający warty, 18. miasto siarki na Sycylii, 20. jedno z najstarszych miast Azji w Uzbeckiej SRR, 21. zespół muzyczny, 22. dym-mgła, 24. historyczne miasto w Serbii 25. rzadki drapieżnik spotykany w Karpatach, 27. u nas bony książkowe, 28. Jan Chryzostom — pamiętnikarz, 29. urzędnik dworski, występujący w wielu polskich sztukach, 32, np. granit, 33. żołnierze afrykańskich wojsk kolonialnych, 35. miasto na Śląsku w Czechosłowacji, 37. uroczysty wiersz.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

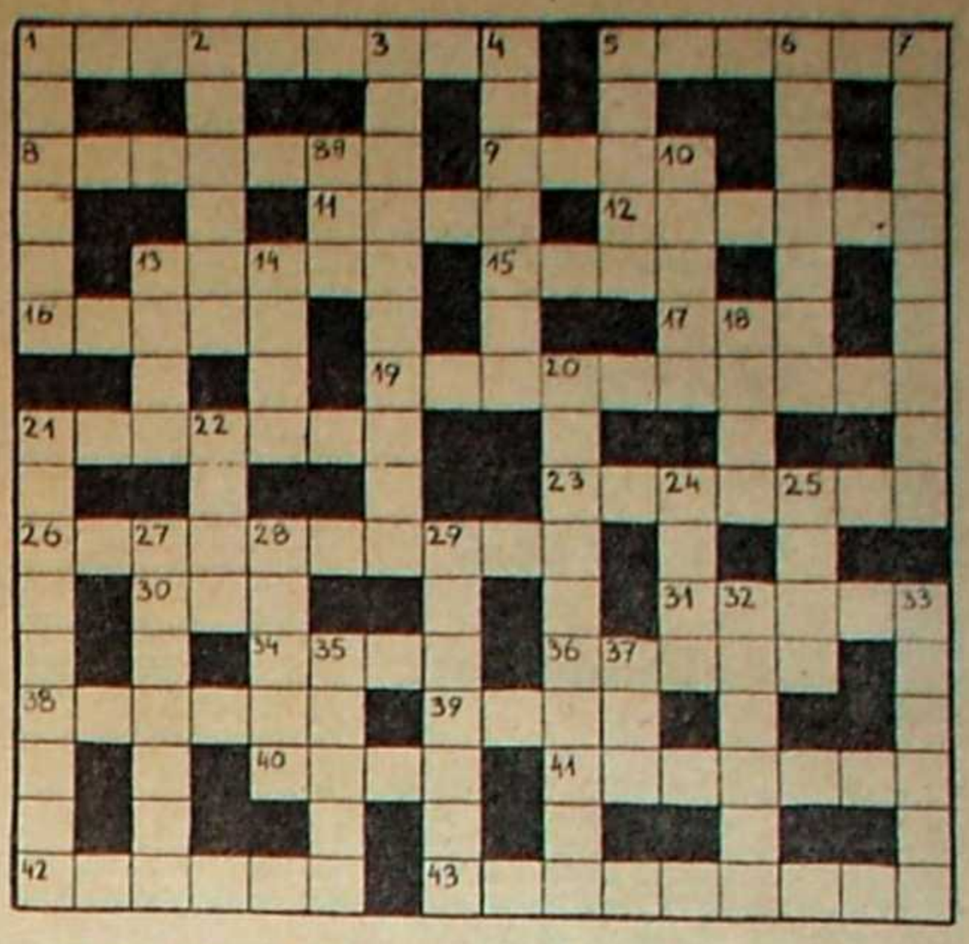

Rozwiązanie krzyżówki Nr 9.

POZIOMO:

Słowacki, Abraham, rama, Aden, Aleko, Konrad, obóz, Nikifor, osa, runo, doba, Nancy, Ontario, Tarnica, torpedo, okolica, wąwóz, talk, Anna, ara, amarant, cedr, zamiar, Amado, data, Anin, Anhelli, Alhambra.

PIONOWO:

szablon, wino, czar, Irydion, Amathal, Hiob, maszkara, ekran, kordon, narybek, Annopol, fara, sago, Atlanta, frawądi, chór, Titicaca, pokarm, doza, canzona, Watra, zagłada, Rioni, dach, mech, Adam, dal.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 9 nagrody wylosowali: Janusz Adrianowicz, Jelenia Góra, ul. Zana 4/2, Ada Zabłocka, Rzeszów, Narutowicza 7, Maciej G. Tywańczuk, Lublin, Langiewicza 24, G. p. 518, Władysław Marbulin, Kielce, ul. Jagiellońska 60/92.

Nowy program stare kłopoty

Dokończenie ze str. 3

Jesienią 1969 roku Ministerstwo ustaliło, że w bibliotekach szkolnych na 1—3 uczniów powinna wypadać jedna książka spośród literatury obowiązkowej oraz spośród literatury nadobowiązkowej — jedna książka na 1—5 uczniów. Bibliotekarze zweryfikowali swoje księgozbiory pod tym kątem i teraz oczekują rezultatów porozumienia Ministerstwa z poszczególnymi wydawnictwami, dotyczącego właśnie produkcji lektur szkolnych. Wiadomo bowiem, ile ich trzeba wydrukować w planie wydawniczym na rok 1971, chodzi o to aby wszystkie oficyny zechciały zrozumieć te potrzeby. Można by na przykład „puścić" wiele lektur w taniej serii „z kolibrem".

Nawet jednak jeśli książki znajdą się na półkach księgarskich i — jak się planuje — przez trzy miesiące będzie prowadzona zamknięta sprzedaż lektur wyłącznie dla potrzeb szkół, to i tak może się okazać, iż nie koniec kłopotów — jeśli książka znajdzie się w księgarni, a nie będzie odpowiedniej pozycji w budżecie biblioteki szkolnej. Dotyczy to przede wszystkim — licznych przecie — szkół wiejskich finansowanych przez GRN-y.

Myślę, że ogólna sytuacja wydawnicza, w jakiej przychodzi startować nowemu programowi języka polskiego, domaga się pilnej uwagi Komisji Ekspertów d/s Oświaty. Żeby się nie okazało, iż wymyśliliśmy jeszcze jeden sensowny program, którego nie można zrealizować.

Maciej Podgórski

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Nasz czytelnik — J. W. Z. z Lublina — zachwycony perypetiami miłosnymi niejakiej Ludmiły, o której pisała pewna autorka na tych łamach, wyraża zdziwienie, iż nie znamy, a w każdym razie nie cytujemy, „równie atrakcyjnej opowieści, drukowanej od pewnego czasu przez „Sztandar Ludu" pt. „Jedna noc w Paryżu" Michela Leburna". Rzeczony czytelnik przesyła nam odcinek z tej „opowieści". Istotnie — rzecz godna jest uwagi. Historia — wbrew pozorom imienia bohaterki (Nataszy) — rozgrywa się w sferach wyższych zachodnioeuropejskich, w atmosferze podniecającego erotyzmu:

Przygotowała wszystko starannie do kolacji, którą będą jeść we dwoje. Whisky umieściła w kubełku z lodem, bo Hieronim lubił, aby trunki były bardzo zimne. Postanowiła też olśnić przyjaciela (za naszych czasów użyto by tu innego rzeczownika — dop. P—R) swoją urodą, toteż oczekiwała na niego w uroczym, powiewnym negliżu, który doskonale uwydatniał jej wdzięki.

Sprawę seksualnie należy wyjaśnić. Już przeszło rok była jego kochanką, ale jego uściski sprawiały jej nadal tę samą, co na początku przyjemność. W takim układzie nic dziwnego, że gdy ON się pojawił, przyklęknęła koło niego, aby mu zdjąć (bez wulgarnych domysłów — dop. P—R) buty.

To oczywiście tylko preludium. Akcja się rozwija: Rzuciła się na niego, niemal dusząc go pocałunkami. On zaś bronił się przed tym atakiem, wylewając przy tej okazji pozostałą w kieliszku whisky. Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Szalona, Paskudna rosyjska reakcjonistka!

— Uważaj, ja pochodzę od Rasputina

— Od jego kobiet, mam nadzieję!"

Temperatury uczuciowe rosną, strojów ubywa: *Natasza słuchała go, zachwycona, rozwiązując mu jednocześnie krawat.* Finał się zbliża: *Zaczęła go łarmosić za uszy, a on, broniąc się, schwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie. Zwyciężona, zaprzestała walki, gotowa do innego rodzaju zapasów.*

— Chodź — rzekła nieco zduszonym głosem, wywsobadzając się z jego objęć.

Uśmiechnął się.

— Ale nie zaraz. Zgadnij przedtem, co ci przyniosłem. Niespodzianka!"

Tu odcinek się urywa. („Dalszy ciąg nastąpi"). A czytelnicy z niepokojem i zaciekawieniem ściskali kolana — co też jeszcze może się zdarzyć między parą przyjaciół?

Listy do KAMENY

„Dzwon w sprawie Marii"

Z zainteresowaniem przeczytałam list Jana Zanieckiego na temat artykułu „Dzwon w sprawie Marii". Zarzuca on autorowi artykułu, że „wykorzystuje wyeksploatowaną przez innych sensacyjność", co przejawia się w ustaleniu, m. in., ile lat i ile psów ma p. Bratiawska. Myślę, że nadawca listu nie zrozumiał po prostu intencji autora, dla którego psy i lata nie były przecież najważniejsze. Najbardziej jednak, zdaje się, żal panu Zanieckiemu pieniędzy, jakie zostały wydane na ochłapy i leb wołowy dla piesków... Uważa on, że taką sprawę powinny rozwiązać miejscowe władze miejskie, a reporter zająć się bardziej ważnymi społecznie problemami. A jeśli miejscowe władze tego nie uczyniły, to czy reporter powinien przejść obojętnie wobec takiego zdarzenia? Chciałam panu Zanieckiemu przypomnieć, że „Kamena" jest pismem społeczno-kulturalnym, a więc zajmowanie się podobnymi sprawami jest zupełnie uzasadnione. A może pan Zaniecki wskazałby, jakie to problemy ma rozstrzygnąć prasa?

Małgorzata Pochroń
Lublin

„Polscy pisarze współcześni"

Sporo wody upłynęło od chwili ukazania się książki Lesława M. Bartelskiego „Polscy pisarze współcześni" i dużo na jej temat powiedziano i napisano. Przejrzawszy niedawno tę pracę nie umiałem znaleźć w niej nic godnego uwagi poza bardzo skromnymi i niepełnymi wiadomościami encyklopedycznymi. Ograniczę się jedynie do podania kilkunastu przeoczeń (jeśli można tak to nazwać) informacji o pisarzach, którzy niewątpliwie oddziaływali i oddziałują na współczesną literaturę, kształtują jej pewne treści.

I tak m. in. brakuje w książce pisarzy: Jerzego Borejszy, redaktora „Rzeczypospolitej" a następnie „Odrodzenia", jednego z organizatorów ruchu obrońców pokoju, autora głośnej swojego czasu książki „Hiszpania"; Karola Kurytuka, przed wojną redaktora lwowskich „Sygnałów", a od 3.IX.1944 współredaktora „Odrodzenia"; Benedykta Hertza, satyryka, bajkopisarza; Wilama Horzycy, literata, reżysera, dyrektora teatrów; Mariana Czuchnowskiego, poety i prozaika; Stanisława Młodożeńca, poety futurysty; Stefana Kisielewskiego, pisarza, kompozytora, krytyka muzycznego; Zdzisława Hierowskiego, autora wielu szkiców literackich w „Odrze" i osobnych prac: „Śląsk walczący", „Poezja i pieśń", „Odbudowa kulturalna odzyskanego Śląska"; Manfreda Kridla, teoretyka i historyka literatury; Stanisława Pigonia, historyka literatury, członka PAN; Wacława Borowego, historyka literatury.

Poza tym: skoro Bartelski informuje o edycjach powojennych, dlaczego robi to w sposób daleki od ścisłości? Na przykład w informacji o utworach Zawieyskiego, wydanych po wojnie, nie ma książki „Mastaw" (1946 r.). A dzieje się podział dramat w ośmiu obrazach pt. „Dzień sądu", za który Zawieyski otrzymał I nagrodę na konspiracyjnym konkursie dramatycznym w czasie okupacji? Tego typu nieścisłości jest stanowczo za dużo w pracy Bartelskiego. Aby nie być gołosłownym: dramat M. Dąbrowskiej oparty na książce prof. T. Wojciechowskiego opublikowany był już w „Twórczości" z 1943 roku (nr 5), i w 1946 roku (nr 1), a Jerzy Andrzejewski wydał w roku 1947 powieść „Zaraz po wojnie".

Czy wydanie następne będzie pełniejsze i dokładne?

Stanisław Sterlus
Kodeniec
pow. parczewski

„Federacja niecierpliwych"

W związku z artykułem zamieszczonym w „Kamenie" z dnia 25 kwietnia br. mówiącym o braku młodych kadr regionalnych w województwie lubelskim informujemy, że w Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Hrubieszowie od kilku lat działa Młodzieżowe Koło Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, liczące 77 zarejestrowanych i pracujących członków. Koło pracuje pod kierunkiem mgr. Zygmunta Drewniaka, aktywnego działacza Zarządu TRH.

Obecnie Koło zbiera materiały do monografii powiatu hrubieszowskiego. Dnia 19 czerwca br. rozpoczną się Dni Ziemi Hrubieszowskiej, zapraszamy więc z tej okazji przedstawiciela redakcji, aby przekonał się, że istnieją u nas młodzi regionaliści, którzy w tych właśnie „Dniach" organizują młodzieżową żakinadę. Poza tym młodzież opiekuje się pomnikiem St. Staszica, uporządkowała grób partyzantów w Metelinie, zbiera fundusze na pomnik Bolesława Prusa, który ma stanąć w hrubieszowskim parku. Natomiast z trwalszych prac należy wymienić zebranie ponad 100 gusel i przypowiedni z okolic Hrubieszowa oraz opracowanie planu, obejmującego teren, przez który przepływa Huczwa. W opracowaniu znajduje się również plan miasta Hrubieszowa.

Ostatnio zebraliśmy wszystkie typy gleb z Ziemi Hrubieszowskiej oraz opracowaliśmy plansze: „Rys rzeki Huczwy", „Rejony rolnicze", „Zabytki architektoniczne w powiecie hrubieszowskim", „Rozwój powiatu hrubieszowskiego" (mapa).

Za pracę nasze Koło otrzymało na ostatnim X Zjeździe TRH medal pamiątkowy Towarzystwa z legitymacją, która umieszczona jest w gablocie Koła.

Wanda Kowalska, Danuta Maryńczuk, Urszula Gubelna, Teresa Gancarz, Maria Buszowska, Joanna Baraniuk, Krystyna Pikuła, Irena Jabłońska, Urszula Witkowska, Ewa Dyda.
(pozostałe podpisy nieczytelne)

Od Damy Dworu do Naczelnego „Kameny"

Wasze Prewoschoditielstwo!

W artykule pt. „Wypracowanie domowe" („Kamena" nr 19) Romuald Wiśniewski donosi, iż byłam damą dworu ostatniej cesarzowej rosyjskiej. I dodaje, że ja temu zaprzeczam.

Otóż nieprawdą jest, jakobym zaprzeczała. I po co, skoro są świadkowie, jak choćby ostatni adiutant cara Mikołaja II, sztabskapitan Romuald Wiśniewski, z którym nieraz miałam przyjemność tańczyć w Petersburgu kadryla, a w późniejszych latach polować na tygrysy w Indiach (u wicekróla, oczywiście!) lub w pałacu szacha perskiego słuchać bajek Szeherezady.

M. Bechczyc-Rudnicka

ERRATA

Do zamieszczonych w numerze 8 „Kameny" wierszy J. B. Ożoga wkradły się błędy. W wierszu „Spod kościoła" po 1. 15 wypadły wersy:

"I wikary
narcyzem opędzał od much księże
kuchty —"

W wierszu następnym pt. „Kain" w 1. 1 powinno być: „Widzisz los", a w 1. ostatniej: „To żyć. To Boga nie móc dopaść. Boga krzywdy i wygnania! Śmierci!"

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał WIKTOR MUDA.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresową — pod adresem redakcji.

L-ZGraf. Zam. 1247. 5.V.71. 15.440. A-5

Dwa otwarte listy na raz

(z olśnieniem)

Szanowny Panie Redaktorze!

W ósmym numerze „Kameny" z 11 kwietnia br. ukazał się esej zatytułowany „Co począć by olśnić nowością", w którym p. Barbara Parobczak prezentuje swoje poglądy na temat publicystyki (explicite) i na temat wiejskich klubów (implicite). Muszę Pana poinformować, że teoria p. BP w niektórych kołach wzbudziła zrozumiały entuzjazm, w innych zdecydowaną dezaprobatę, a we wszystkich — nowe domysły na temat stosunków pomiędzy np. Wydziałem Kultury PWRN a WDK w Lublinie. Zaznaczam, że rzecz cała sprowadza się tylko do domysłów, jako że nie każdy czytelnik „Kameny" jest działaczem kultury rozsmakowanym w przenośniach, metaforach, kalamburach i niedopowiedzeniach, na jakie p. BP „odważnie" rozpisuje swoje rewelacje. Porcją takich domysłów będzie również mój list otwarty do p. BP, pozwoli Pan, że go otworzę.

* * *

Szanowna Pani!

We wspomnianym numerze „Kameny" i pod wspomnianym już tytułem ogłosiła Pani teorię na temat olśniewania nie pozbawioną historiozoficznej zadumy wpisanej w system psychologicznej niewiedzy. Abyśmy nie byli gołosłowni — pozwoli Pani, że Ją zacytuję: *Wydaję się, że dyskusje o klubach i domach kultury nigdy się nie skończą, zawsze bowiem jakiś młody gniewny zacznie wiek umysłowego dojrzewania* (podkr. moje) *i po obejrzeniu pięciu klubów i trzech domów kultury stwierdzi, że nikt dotąd nie zauważył pewnych spraw, nikt o nich nie napisał (przynajmniej on nie czytał), jest więc szansa zabłysnięcia nowością spojrzenia i wnikliwością oceny.* Dalsze konteksty pozwalają mi przypuszczać, że młodym — dojrzewającym i stawiającym niemądre pytania w rodzaju DLACZEGO, PO CO, JAK? — było moje nędzne istnienie. Muszę pogratulować znajomości mojej biografii, a co więcej dodam, że właśnie dzięki Pani opracowałem monumentalne dzieło pt. „F. Piątkowski (podręcznik dla biografów)", w którym — zapewniam — znalazł się i taki passus: *W lutym 1971 roku ogłosiłem na łamach „Kultury i Życia" (dodatek do Sztandaru Ludu) swoje votum separatum w sprawie wiejskich klubów, w którym pół żartem — pół serio nawoływałem nie tyle do zmian na lepsze (bo przecież mogłoby być jeszcze gorzej), ile do trzeźwego spojrzenia na klubową rzeczywistość. W trakcie długotrwałej dyskusji przekonałem się, że moje votum separatum przyobleknie się w vox clamantis in deserto, a próba postawienia pytań o przyczyny zaniedbań zrównana została z czynem szalonego szewca z Efezu".*

Tutaj winien jestem Pani — i nie tylko — maleńkie wyjaśnienie: działacze z terenu i tzw. prości czytelnicy odmówili mi w sposób zdecydowany miana Herostratesa. Boję się, że zrozumieli treść felietonu „Zlikwidować kina? I kluby też!", czego nie mogę powiedzieć o... (no, ale nie zawstydzajmy). Dla miłośników zawiłych figur stylistycznych wskażę tylko trop pomocniczy: uczeń nie przygotowany do lekcji na pytania nauczyciela odpowiada najczęściej, że nie rozumie. Ergo bibamus! — wzajem do siebie!

Pozwoli Pani jednak, że wrócę do Jej szkicu, by olśniewać się dojrzałością stylu i wnikliwością ocen oraz smakować nowość spojrzenia opartą nie na obejrzeniu pięciu klubów i trzech domów kultury, ale na wnikliwym przejrzeniu ostatnich sprawozdań. Oto indukcja w stanie czystym! Wydaje mi się tylko że Szanowna Pani wyliczając kluby zapomniała zapytać, ile z nich trzeba oddać do remontu, a przydzielając im telewizory, projektory, rzutniki i kamery pominęła taki maleńki drobiazg (również ukryty w sprawozdaniach), że 39 proc. klubowego sprzętu należałoby wymienić. Pars pro toto — nie szkodzi.

Zgadzam się natomiast z Panią, że województwo lubelskie to *województwo o złych tradycjach klerykalnej obyczajowości, odziedziczonej niechęci do nowości i zmian, paradoksalnych konsekwencjach awansu społecznego, niewielkim stopniu świadomości społecznej i politycznej,* że toż samo województwo *wyróżnia się w kraju cennymi, estetycznymi i przystosowanymi do możliwości środowisk wydawnictwami repertuarowymi i metodycznymi, liczbą zespołów amatorskiego ruchu artystycznego (1212) zrzeszających 24 432 członków...* itd (nie wiedziałem, ale wiem: każda myszka swój ogonek chwali, a w „Tygodniku Kulturalnym" szeroko o tym amatorskim ruchu pisano) i że w tym samym województwie kultura to: *zespół pieśni i tańca, big-bit, akademia, orkiestra dęta i drobne usługi w postaci: namaluje, zaśpiewa, zatańczy, powie wierszyk* (oczywiście Pani nie zgadza się z takim pojmowaniem kultury, ale przyznaje, że *przez wiele lat właśnie to robimy i jakoś wszyscy są niezadowoleni*). O wielkie nieba! I z czym ja się zgodziłem? Odwołuję.

Zgadzam się natomiast z Panią, że dyskusja o profilu (podkr. moje) kultury w województwie lubelskim *i zadaniach na najbliższe lata jest potrzebna.* Aby nam było raźniej dodam, że niezbędna, konieczna, wskazana i... eh! Ale co się stanie z tą dyskusją, gdy postulowana przez Panią „rzeczowość argumentów" zamieni się w argumentację od rzeczy i np. gdy mimo ewidentnych podstaw do twierdzenia, że brak nam jasno sprecyzowanych koncepcji działania, że nie przestrzega się istniejących porozumień i planów (nb. warto przeczytać — skoro bawimy się w „zalecanki" — artykuł W. Kicińskiego pt. „Kto pomaga wiejskim klubom" w „Trybunie Ludu" z 19 kwietnia br.) i że nie tak znowu różowo wygląda sytuacja zaplecza materialnego klubów („Kamena" nr 2 z 17 stycznia br.) — będziemy uparcie zawracać kijem Wisłę nie po to, wszakże, by jej bieg zawrócić, bo na to jesteśmy już za mądrzy, lecz po to, by zaznaczyć, bo to jeszcze czasem może się udać? I co stanie się z tą dyskusją, jeżeli dalej przebiegać będzie wg wzorca: głaszczemy się dobrotliwie po chamskich gębach, *klepiemy serdecznie...* i mówimy rozkosznie *mrużąc oczęta: ty nie raz mnie, a ja nie ruszę ciebie!* Niech się Pani przyzna: do kogo zmrużyła Pani oczęta, ha? Do tej komórki odpowiedzialnej za *profil* kultury w województwie? A kto to taki?

Na zakończenie mam jeszcze prośbę: niech Pani nie odaje, że prasa jest Jej całkowicie obcą (to wolno jeszcze młodym gniewnym, ale nie Pani). Wyczytać w niej można o tym, że „Antygona" nie była znakomitym przedstawieniem, że operetka lubelska nie jest najlepszą w kraju, że zabytki nie są w idealnym stanie itd., itd. (M. Bechczyc-Rudnicka, Z. Kazimierczuk, W. Wojtkowski — „Kamena", „Sztandar", „Kurier"). Vale et memor sis mei!

* * *

Pozwoli Pan, Panie Redaktorze, że dopiszę zdań kilka do listu adresowanego do Pana i odpowiem na ukryte w podtekstach swojej repliki pytanie, dlaczego przeprowadzam tak obszerną egzegezę wypowiedzi p. BP? Mówiąc najkrócej dlatego, że zaczęła mnie irytować cała dyskusja o klubach: wiedziona poprzez półprawdy, półsłówka i półpodjeżdżania w rejony przytakiwactwa, dywagacyjnej krętaniny i niby-też-to błyskotliwych polemik. Ja naprawdę wierzę, Panie Redaktorze, że ktoś mógł nie zrozumieć o co „chodziło" w felietonie „Zlikwidować kina? I kluby też!"; dlatego opublikowałem w „Kulturze i Życiu" rzecz bardzo serio, bardzo prosto, bardzo kawę na ławę — chociaż nie do końca — pt. „Sporu o kluby ciąg dalszy". Rzecz tak serio i prosto, że aż przykro, ale czego nie robi się dla „rozgniewanych" lub „rozżalonych" — jak chce p. BP — ukochanych działaczy kultury! Ale na litość bogów! — zaczynam podejrzewać, że w tej całej dyskusji w ogóle nie wiadomo o co „chodzi"!

Jeżeli Pan się domyśla i jeżeli Pan uzna, że moja wypowiedź nie jest jedynie obroną jednostkowych racji, a bardziej próbą przedstawienia mechanizmów pewnej dyskusji o pewnych mechanizmach — będę wielce zobowiązany za opublikowanie mojej wypowiedzi na łamach „Kameny".

Z wyrazami szacunku

Franciszek Piątkowski

MINUTA MYŚLENIA

Tele-wata i tele-morele

NIGDY nie należałem do tych, którzy ciskają kamieniami w szklany ekran. Zdaję sobie sprawę, ile pracy musi poprzedzać emisję choćby najbłahszego obrazu i ulegam nawet nieruchomym planszom, które serwują urok zegara na ratuszowej wieży. Muszę się przyznać, że do dziś jeszcze działa na mnie — jeśli tak można powiedzieć — magia techniki sprawiająca, że kiedy w jednym miejscu kopie się piłkę, w drugim to widać.

Nie wydziwiam też zanadto na telewizyjny program nawet za pozycje ponad wszelką wątpliwość pełniące funkcję waty, jak na przykład rozmowa specjalistów rolnictwa, z której wynika, że prawidłowe wykonanie prac polowych wpływa na zwiększenie plonów. Albo — koncert filharmonii, w czasie którego kamera włazi nawet pod krzesła, by do monotonnego wizualnie piłowania smyczków i konwulsji puzonów dodać coś, co by usprawiedliwiało tego akustycznego zjawiska przekaz telewizyjny. Zgadzam się, że przy takiej „treściochłonności" każdej minuty emisji, jaka jest w TV, nie sposób żądać od jej programu samych górnych „c".

Ale też niechże nie raczy się mnie pozycjami, które można określić jako „wymyślanie czegokolwiek". To znaczy prezentowanie owej waty z tym jednak, że się ją ujmuje w „oryginalny" kształt. Oto na przykład w dniu 18 kwietnia br. teleturniej pt. „Gentelman jezdni". Już samo sformułowanie tytułu, mające w intencji uhonorowanie specjalnym epitetem kierowców, którzy po prostu przestrzegają przepisów jazdy, zawiesza cień wątpliwości nad racją podjętej imprezy. Bo czy ja, jako przechodzień, zasługuję na miano „gentlemana chodnika" przez to tylko, że nikomu nie następuję na odciski, a w ciasnych przejściach nie toruję sobie drogi łokciami? I czy analogiczne postępowanie na jezdni — bo przecież nie chodzi o powiewanie chusteczką przy mijaniu — jest taką rzadkością, że wymaga oddzielnej i niemal dziecinnej terminologii? Czy zgodne z przepisami ruchu znalezienie się w danej sytuacji na szosie należy do tak trudno rozwiązywalnych zagadek, że aż wymaga udziału sędziowskiego jury złożonego z ekspertów? Toż właśnie cały zaplanowany rezultat tak przeprowadzonego turnieju wywraca się podszewką do góry. Wywołuje refleksję tej treści: „To już mam z głowy, nigdy nie będę dobrze jeździł, skoro poprawność na szosie jest osiągalna tylko przez taki uniwersytet". Okazuje się, że tu chodziło nie o normalnego użytkownika, nawet nie o gentlemana, ale o profesora, a co najmniej habilitowanego docenta jezdni.

A już prawdziwe apogeum bezkrytycyzmu Telewizja Polska osiągnęła dnia 22 kwietnia, puszczając na antenę Estradę Studencką studentów Wydziału Aktorskiego PWSFTViT w Łodzi z programem „Dlaczego ogórek nie śpiewa". Darujmy już dowolność boszowania po Gałczyńskim. Wyrywki z tekstów są dopuszczalne, a nawet nieodzowne w tego rodzaju pot-pourri, kiedy całość tłumaczy się kompozycyjnie. Tu się nie tłumaczyła, ale ponieważ wykonawcom trudno to udowodnić, skoro wykazali brak wyczucia, jeśli chodzi o coś znacznie ważniejszego, o sposób podania satyry Gałczyńskiego, przyjmijmy to z mankamentami inwentarza. Nie spierajmy się o pół tonu, kiedy wykonawca zamiast skrzypiec trzyma zdezelowaną hulajnogę. Tylu wykonawców (plus autor muzyki, autor scenariusza, scenograf, reżyser TV) i ani jeden jako tako trafnie sprezentowany tekst. Prześwietna Awangardo Epoki Hamsiejewicza! Blacie swojego Różewicza, Białoszewskiego, Karpowicza, Czachorowskiego — oto pole do inwencji. Tu się nikt nie pozna. Do „nie wiadomo o co chodzi" tekstów możecie dodać swoje „nie wiadomo dlaczego tak" wykonania i dalej wszystko będzie się zgadzało w intelektualnie wymagającym eksperymencie. Ale satyra Gałczyńskiego coś znaczy, posiada swój rytm, demaskatorską zręczność, wyraźnie określony adres. Jak liryka ową nieprzepartą siłę oddziaływania, której nie potrzeba podpórek deklamatorskich. To nie „tekst", który już jest gotów, do którego tylko dorobić „muzykę" i „opracowanie sceniczne". (Wielkie nieba! Ta muzyka do „Kryzysu w branży szarlatanów", której tyle do charakteru tego wiersza, co marcowemu miauczeniu kota do oberka!) Komu ten koncert fiksów?

Telewizji. Dawaj go tu. To przecież nie nieruchoma plansza, nie dyskurs o bezmała pogodzie. To „artystyczny ewenement" po którym tylko czekać jak się sypną głosy zaszokowanych oryginalnością widzów. I na takiej zasadzie: bezkrytycyzm plus szeroki margines dla eksperymentu plus nadzieja na aplauz u odbiorców, skoro go ewentualnie nie ma w kwalifikującej komisji, idzie w świat produkcja, którą przed terminem „szmira" chroni puklerz szacownych anturaży.

Jeśli w dalszym ciągu będzie występować Estrada Studencka z Łodzi, to — Panie Prezesie — ja oferuję swoje usługi w balecie.

Ijon

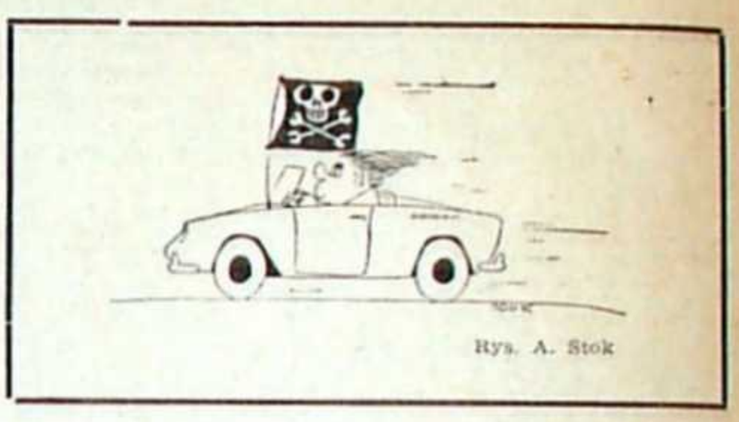

Rys. A. Stok

NOTY i notki

W „Kartkach teatralnych" Michał Wroński („Poglądy" nr 9) tak pisze o spektaklu pt. „Doktór Judym" w Teatrze Polskim w Bielsku Białej: „Należy być wdzięcznym teatrowi bielskiemu, że wyszedł naprzeciw młodzieży szkolnej. Wygodne siedzenia, ładny teatr, wokół ludzie, można zapalić w przerwie papierosa (ukradkiem w toalecie). Bielska młodzież nie będzie musiała czytać setek stron powieści, wystarczy pójść do teatru". Papierosa w toalecie... Nie można powiedzieć, aby autor obrzydzał młodzieży chodzenie do teatru. Nie można także powiedzieć, aby na inaugurację Dni Oświaty, Książki i Prasy zachęcał do czytania książek, które jednak przeszły do klasyki literatury polskiej. Można natomiast powiedzieć, że zachęca do korzystania ze swojego rodzaju bryków, jakim jest „Doktór Judym" wobec „Ludzi bezdomnych". Kiedyś bryki pana Zuckerkandla były powszechnie potępiane, dzisiaj bryki w formie tzw. adaptacji spotykają się coraz częściej z pochwałami.

Jak wiemy z własnego doświadczenia, młode pokolenie aktorskie najczęściej nie grzeszy poprawną dykcją. Ponieważ jakoś nie mogą się jej nauczyć ani w szkole średniej, ani później w aktorskiej, proponuję zastosowanie metody, którą zdradził z własnych doświadczeń Wiesław Gołas („Przemiany" nr 5): „Pozostała mi żywo w pamięci postać ks. Tomczyka. Kiedy wybierałem się do szkoły aktorskiej, podarował mi podręcznik dykcji, wydany dla księży. Uczyli się potem z niego wszyscy moi koledzy. Do dziś jeszcze pamiętam ćwiczenia dykcji, jak choćby: czcia, czcić, czciu, czci, czcią".

„Bo Lublin nas tłamsi i gnoi i nie pozwala na kulturalną samodzielność" — pisze Lech Borski w artykule „Leczenie kompleksów" („Kultura i Ty" nr 6), powtarzając opinie zasłyszane — rzekomo — w Białymstoku. Oczy przecierałem kilka razy, ale nic nie pomogło. Wypada więc publicznie zapytać pana Borskiego, w jaki to sposób Lublin tłamsi i gnoi kulturę białostocką? Bo przecież wydziały kultury w obu miastach są od siebie zupełnie niezależne, podobnie teatry, filharmonie, pisma kulturalno-społeczne, kina, towarzystwa regionalne, wyższe uczelnie itd. itd.

„Skąd ja jestem?" — zapytuje Stefan Kozicki („Kultura" nr 19), dokonując czegoś w rodzaju reporterskiej spowiedzi. Pisząc o kłopotach z uzyskiwaniem informacji autor twierdzi, że wobec braku powiązań rodzinnych prezesa RSW Prasa z kimś, kto za szwagra prezesa jest gdzieś tam uważany, „nawet powołanie się na Rzecznika Prasowego Rządu (z tytułem wicepremiera) (...) staje się nieprzydatne". I będzie nadal nieprzydatne z tego prostego powodu, iż Rzecznik ma tytuł wiceministra. No i rzeczywiście — skąd jest autor, jeżeli tego nie wie?

JOD

Napełniły się pomysłami tytułów głowy Polaków parających się pisaniem. Mieliśmy „Kapelusz pełen deszczu" i „Wiadro pełne nieba", a teraz pan Lech Niekrasz opublikował książkę o Ameryce Południowej pt. „Sombrero pełne buntu". Kto następny?

Na Wiśle, w okolicach Kazimierza, planuje się budowę tamy. Powstały powyżej niej sztuczny zalew sięgnąłby pod Sandomierz. Henryk Pająk, pisząc o tym w „Kurierze Lubelskim", zapytuje, dlaczego zbiornik ów ma się nazywać Morzem Sandomierskim, a nie Morzem Opolskim, lub Morzem Kazimierzowskim? A dlaczego w ogóle morzem, nie oceanem? To brzmi dumniej.

W pierwszomajowym numerze „Sztandaru Młodych" Roman Waschko publikuje listę przebojów nr 121 Studia „Rytm", „zaległą" listę tygodnika „New Musical Express" (20 pozycji, z podaniem miejsc na poprzedniej liście, uwaga sensacja: Remember Me w wykonaniu Diany Ross podskoczyła z 15 na 9) oraz ogólnopolską listę przebojów nr 17. Bez twórczości pana Waschki życie intelektualne polskiej młodzieży byłoby strasznie jałowe.

WIR

FALSETEM

„Żywocik" niepoetycki

GDYBYŚMY ogłosili konkurs na najbardziej pilnego czytelnika „Kameny" duże szanse na zajęcie pierwszego miejsca miałby Tadeusz Mocarski z miesięcznika „Poezja". Można się było o tym przekonać czytając ostatnio jego replikę na felieton niżej podpisanego z 5 n-ru „Kameny". Czego nie było w tej replice! Tadeusz Mocarski przypomniał nam chyba wszystkie pozycje, które zamieściliśmy w „Kamenie", traktujące o „Poezji" bądź z nią polemizujące. (Przy okazji p. Waldemar Ostrowski z Puław (vide: list na str. 11) otrzymał jeszcze jedną odpowiedź na pytanie, które postawił w zakończeniu swego pisma do redakcji).

Główną jednak uwagę skupił Tadeusz Mocarski na problemie, który poruszyłem w mym felietonie („Okrągły milion?"). Rzecz o tzw. przedrukach. „Tylko poeta wie — pisze Mocarski — że wysłał ten sam utwór do kilku pism i chyba od jego uczciwości zależy, czy ukaże się w dwu pismach na raz, czy też nie. Poeta może zrobić to świadomie ze względu na wybitne wartości prezentowanego utworu. Może akurat na tym wierszu bardzo mu zależy".

Dalej Mocarski stwierdza, że „Poezja" czytała utwór Jana Górca-Rosińskiego, który ukazał się w 25 (458) n-rze „Kameny". Wydrukowała go jednak ponownie w 2 n-rze „Poezji" „wychodząc ze słusznego założenia, że autor przedstawił nam inną bardziej artystyczną wersję..." Na czym się owo słuszne założenie opierało? „Szósty wers utworu zamieszczonego w „Kamenie" brzmiał: „i cierpliwość rdzy", natomiast szósty wers wiersza publikowanego w „Poezji" — „i cierpliwość róży" (!)". „Bo chyba MAJ-owi wiadomo, że w literaturze „czasem jedno słowo ma wartość wiekową" — brzmi konkluzja Mocarskiego.

Owszem, MAJ-owi wiadomo. A jednak ta „cierpliwość rdzy" i „cierpliwość róży" nie daje mi spokoju. Co łączy rdzę i różę? Rozumiem, że rdza może mieć cierpliwość, by niszczyć np. żelazo. Ale płatki róży szybko przecież opadają! Powiedziałbym opadają niecierpliwie szybko! Nie chcę rozczepiać włosa na czworo, jednak w danym przypadku mogła po prostu pomylić się maszynistka przy przepisywaniu tekstu. Zabierzmy od „d" pałeczkę, dodajmy dwa przecinki i mamy „różę" jak na dłoni!

Byłbym więc bardzo ostrożny w przypisywaniu jednemu słowu wartości wiekowej, bo czasami, chcąc nie chcąc, można się ośmieszyć. Nie piję tu do Mocarskiego, bo nie wiem, jak rzecz ma się w istocie. Górcowi-Rosińskiemu, który mógłby to autorytatywnie wyjaśnić, nie warto zawracać głowy: ma dość roboty „z Faktami i Myślami"...

Jedźmy jednak dalej. I tu muszę się uderzyć we własne piersi. Rzeczywiście felieton (?) Mocarskiego o „okrągłym milionie" poetów potraktowałem poważnie. Ale dały się na to nabrać i ... „Szpilki"! Znalazłem się więc w niezłym towarzystwie, co mnie nieco pociesza. A może rzeczywiście Mocarski w swoich pracach powinien zaznaczyć (zapowiada, że się postara): „tu żartuję, tu piszę poważnie"? W ten sposób uniknęlibyśmy nieporozumień i problem załatwimy dżentelmeńsko. Mocarski udowadnia zresztą, że jest dżentelmenem. „Kamena" — stwierdza — jest poczytnym dwutygodnikiem. To dobrze redagowane pismo". Dziękujemy. I z miejsca się rewanżujemy: „Poezja" jest bardzo poczytnym miesięcznikiem. To bardzo dobrze redagowane i bardzo ciekawe pismo".

Na tym można by „seysję" zakończyć i wyciągnąć dłoń do zgody: „Tadziu, buzi, mów mi Maruś". Ale pozostał jeszcze drobiazg. Mocarski zarzuca nam, że w Kamenie" jest za dużo pseudonimów. „MAJ, Paliwoda, Ijon, Jod, Jacek... Zwłaszcza w sytuacjach polemicznych dobrze byłoby wiedzieć, z kim ma się honor..."

Nie uważamy za stosowne, aby pod każdą notką zamieszczać imię i nazwisko autora. Czasem wystarczają inicjały. Czasem pseudonim. Wówczas jest zresztą pewność, że Mocarski niczego nie przekręci. „Trzeba czytać uważnie" — nawołuje on w swym materiale. Rzeczywiście trzeba. I to zaczynając od siebie. I jeśli zwraca się on z apelem do redaktora naczelnego „Kameny", nie powinien dowolnie zmieniać jego drugiego imienia! „Zwłaszcza w sytuacjach polemicznych". A więc ADAM, nie ANDRZEJ. W sumie

MAJ

Odpowiedzi redakcji

„Dorota" w Lublinie. Ponieważ nie orientujemy się, czego Pani od nas żąda (publikacji? oceny?), przeto na wszelki wypadek drukujemy fragment nadesłanego wiersza: „Drogo bolesna, drogo daleka. Nie zaprowadzisz ty nas do nikąd. Zmięte zegary zamknęły ślepia. Wskazówką brzemienną nagą ciszą". Ponadto informujemy, że „zmięte zegary" przypominają nam obraz Salvatora Dali. Reszta cytatu i reszta wiersza przypomina nam bardzo złą poezję.

„Piętnastolatka a właściwie już szesnastolatka" w Radzyniu Podlaskim. Jeśli istotnie się mylimy, to pomyłka nasza płynie stąd, że bardzo często przemyślni autorzy używają wybiegu, jakim jest pisanie kilku listów pod różnymi nazwiskami. Liczą w ten sposób, że zwiększą swe szanse na publikację. W Twoim przypadku zmylił nas podobny charakter pisma i ta sama miejscowość.

B. K. w Warszawie. Wiersze nie podobały się nam, aczkolwiek nie jest to jakaś grafomania, tylko po prostu bardzo mierna poezja, blada językowo i banalna myślowo. Nie znaczy to, iż brak perspektyw przed Pańską muzą, a znaczy tylko, iż chyba złą drogą ona kroczy. Stanowczo odradzamy ten w gruncie rzeczy czysto opisowy model poezji, jakim się Pan posługuje. Doradzamy więcej refleksji nad własną twórczością.

J. B. w Rajgrodzie. I Pańską poezję gubi jałowa opisowość. O „świątku" zdarzyło nam się czytać już dziesiątki wierszy — już samo użycie tego motywu budzi nasze podejrzenia. W sumie — nie skorzystamy.

L. P. — W. w Zawierciu. Na fraszki miejsca u nas bardzo mało, toteż i publikacje tego gatunku są nadzwyczaj rzadkie. Niektóre z Pańskich tekstów nawet udane, chciałoby się drukować, tylko kiedy? Tym więcej, że inni fraszkopisowie też czekają swojej kolejności — wcześniej nadesłali teksty i terytorialnie bliżsi są „Kamenie". Jeśli ma Pan cierpliwość, radzimy czekać. Ale realniejsze szanse są jednak w prasie codziennej.

J. S. N. w Rzeszowie. Miałkość myślowa — oto główna wada obu wierszy. Rycerz kawiarni — cóż za banalny temat! Może istotnie opowiadania są lepsze, gdyż mimo wszystko zdradza Pan pewien zmysł obserwacji, a to się w prozie bardzo liczy, ta umiejętność podpatrywania ludzi. Żadnego wszak listu z opowiadaniem nie otrzymaliśmy od Pana — wbrew zapowiedzi.

H. K. w Lublinie. Po co się do nas pisze, to my na ogół wiemy. Lecz dlaczego się pisze nieczytelnie, tego zrozumieć nie jesteśmy w stanie. Upadek sztuki epistolarnej zupełny w tym kraju, szczególnie pośród młodzieży, której reprezentantki domyślamy się w Pani. Pozdrowienia i staroświeckie ukłony.

M. D. w Lublinie. Odpowiedź — jak wyżej. Widać, że swoim znajomym czyta Pan teksty, na głos, nie przedstawia zaś rękopisów do wglądu.

I. S. w Lublinie. Czytamy z rozkoszą: „Posyłam dwa swoje wiersze. Teraz trudno o takie. Bardzo mi się podobają, a są wyrazem moich głębokich poetyckich przeżyć. Proszę wydrukować." Spełniamy prośbę:

Pan Bóg skonstruował takie
rozmawiadło,
że można przez nie na odległość
gięzić
Ja skonstruowałem wieszadło,
na którym jak się ktoś powiesi,
to nie gięzi.

Rzeczywiście.

Półwiecze „Przeglądu sportowego"

28 maja 1921 roku ukazał się w Krakowie pierwszy numer „Przeglądu sportowego". W tych dniach pismo obchodzi swoje półwiecze, co jest w polskiej prasie jubileuszem rzadkim. Od roku 1926 „Przegląd" wychodził w Warszawie. Po przerwie okupacyjnej pierwszy numer ukazał się 12 lipca w Łodzi, by wkrótce znów wrócić do Warszawy.

Najpopularniejsza polska gazeta sportowa ukazuje się w nakładzie ok. 180 tys. egzemplarzy, jednakże w okresie ważnych wydarzeń sportowych, np. Olimpiady osiąga blisko 300 tys.

Zespołowi „Przeglądu sportowego" życzymy dalszych sukcesów.

„Kamena"